GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 WRZESIEŃ 1935 R.
NR. 17—18 ROK V

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 17—18

1935 R.

1 — IX

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

KTÓRĘDY?...

Polityka gospodarcza — jak każda polityka — nie jest nauką, ale sztuką. Ocena hjerarchji celów i środków, stanowiących treść polityki, zależna jest od czynników subjektywnych i jako taka nie może podlegać żadnej objektywnej krytyce, o ile tylko zachowuje przesłanki logiczne.

Głuche tylko wieści dochodzą t. zw. szerszą publiczność o niezmiernie ponoć ważnych rozstrzygnięciach, jakie zapaść mają (czy miały...) w dziedzinie fundamentalnych zagadnień polityki gospodarczej Państwa. Tak głuche, że niewiadomo nawet, czy istotnie dyskusja toczy się na tak zasadniczej płaszczyźnie, jak to niektórzy twierdzą, czy też wiadomości te są przesadzone. Nie mamy najmniejszego zamiaru powtarzać plotek, ale nie da się zaprzeczyć, iż tendencje, zmierzające do takiej czy innej modyfikacji prowadzonej u nas nieprzerwanie od początku depresji polityki deflacyjnej, znacznie wzrosły, że nietylko „vox populi" nieorjentujący się zresztą wogóle w istocie zagadnienia, a w którym odbija się tylko powszechne wyczerpanie skutkami deflacji, nietylko t. zw. sfery lewicowe (politycznie opozycyjne i nieopozycyjne) ale nawet i niektórzy niezainteresowani naogół politycznie ekonomiści poczynają wyrażać swe wątpliwości co do stosowności dalszego prowadzenia polityki „równania wdół". Jeśli tedy owa wielka dyskusja, o której mówimy na wstępie, miała czy ma miejsce, byłaby ona odzwierciadleniem wcale poważnych ruchów opinji publicznej. Kwestja: „którędy mamy nadal iść?" staje się naprawdę — kwestją. A odpowiedź na nią jest, niestety, właściwie niemożliwa.

Polityka gospodarcza — jak każda zresztą polityka — polega na założeniu świadomej oceny hjerarchji celów i środków przez tego, który politykę tę prowadzi. Już to samo wskazuje, że t. zw. „dobra" czy „zła" polityka gospodarcza może być oceniona dopiero ex post — i to wówczas, kiedy da *jawnie* dobre lub złe skutki. Wyniki *połowicznie* korzystne lub niekorzystne nie mogą nigdy stanowić kryterjum do oceny polityki jako właściwej albo niewłaściwej. Nigdy niewiadomo, czy, postępując inaczej, nie możnaby osiągnąć lepszych albo sprowadzić gorszych. Wyniki *jawnie* korzystne lub niekorzystne ocenić można stopniem nasilenia zadowolenia lub niezadowolenia ogółu. Nie wchodzimy już zresztą w czysto polityczne zagadnienie, co, mianowicie, mamy za „ogół" taki uważać...

Subjektywna ocena hjerarchji celów i środków przez prowadzącego politykę czyni z niej właśnie nie naukę, w której obowiązują jakieś utarte reguły, ale — sztukę. Poprostu, mówiąc bezceremonjalnie, do polityki trzeba mieć „nosa". Zwłaszcza wówczas, kiedy kierunek jej nie rysuje się prosto i wyraźnie. Jeśli każda z ewentualności politycznych ma swe „pro" i swe „contra", ocena ich ciężarów gatunkowych jeszcze wyraźniej zależy od intuicji rządzącego. Tego faktu żadne dociekania nie zmienią.

Polska znajduje się w tej chwili w sytuacji, kiedy jej polityka gospodarcza niewątpliwie stoi przed takiemi ewentualnościami. Polityka ta była naogół polityką *słuszną teoretycznie.* To już przemawia za nią bardzo silnie. Każda inna polityka gospodarcza w Polsce, prowadzona w ciągu lat

ubiegłych, musiałaby *przedewszystkiem* narazić się na zarzut, że sprzeciwia się temu, co objektywnie dotychczas twierdzono na temat kierunku polityki gospodarczej krajów o charakterze zbliżonym do sytuacji gospodarczej Polski w obliczu kryzysu. O ile bowiem dla krajów bardzo bogatych istnieje „teoretycznie" możność prowadzenia w okresie depresji gospodarczej polityki innej niż deflacyjna, to dla ubogiego kraju dłużniczego, kraju, który nie posiada żadnych odpowiednich środków na jakiekolwiek „nakręcanie konjunktury", który „nakręcaniem" takiem ryzykuje nazbyt wiele, a którego ogólna sytuacja — już nietylko gospodarcza — ryzyka takiego nie znosi, dalej — kraju, którego kredyt zagraniczny nie zdążył się jeszcze wyrobić, a któremu specjalnie na nim zależy z uwagi na zniszczenie wskutek wojny własnych kapitałów itd — pozostaje właściwie *tylko* droga równania wdół.

Powiedzieliśmy, iż, teoretycznie biorąc, polityka gospodarcza prowadzona dotychczas w okresie depresji przez Polskę była naogół słuszną. Słowo „naogół" tyczy się już nie kierunku ale *sposobu* przeprowadzenia tej polityki. I już tutaj zaczynają się wątpliwości, których objektywnie rozwiązać nie sposób. Powiada się np. tu i owdzie, że polityka deflacyjna w Polsce prowadzona jest za słabo co do natężenia, ale zato zadługo, jeśli chodzi o czas jej trwania. Że, innemi słowy, deflacja nie może być nigdy *stanem* gospodarczym, a conajwyżej tylko ostrą, bolesną, ale krótkotrwałą *kuracją*, która ra wyczerpuje chorego, ale która szybko mija. Być może, iż jest to słuszne. Ale znów wysuwają się tutaj wątpliwości innego rodzaju. Czy w stosunkach polskich, których nie sposób nazwać uregulowanemi gospodarczo, takie „końskie leczenie" byłoby istotnie wskazane? Czy nie doprowadziłoby przypadkiem do zbyt wielkich, jak na krótkotrwałość istnienia naszego zespolonego organizmu gospodarczego, wstrząsów, mogących — notabene — odbić się i w dziedzinach pozagospodarczych? Kwestja pozostaje otwarta.

Ale nie chodzi o reminiscencje tylko o przyszłość. Zwolennicy zmiany obecnego kursu polityki gospodarczej wysuwają swoje argumenty. Zwolennicy utrzymania status quo — swoje. Powiedzieliśmy już, że *objektywnie* nie sposób wypowiedzieć się ani za jedną ani za drugą tezą. Nie sposób — bo obie posiadają swoje plusy i swoje wielkie ryzyka. Od *subjektywnej* oceny kierowników polityki gospodarczej będzie zależało, które plusy uznają za przewyższające odpowiednie ryzyka. Jeśli jednak nie można dać objektywnego *rozstrzygnięcia* sporu, trzeba — zdaniem naszem — przedstawić możliwie jasno jego *elementy*. Trzeba, innemi słowy, powiedzieć wyraźnie, co się zyskuje i czem się ryzykuje, utrzymując obecną politykę gospodarczą — i jakie będą dobrodziejstwa i ryzyka ewentualnej jej zmiany.

Kilka miesięcy temu w artykule p. t. „Kropki nad i" staraliśmy się przedstawić ujemne skutki ewentualnego „nakręcania" naszej wewnętrznej konjunktury własnemi siłami. Wspominaliśmy wówczas o niebezpieczeństwie załamania się równowagi naszego bilansu płatniczego, konieczności wprowadzenia ograniczeń dewizowych, ewentualności zawieszenia wogóle transferu naszych zobowiązań zagranicznych, utracie z takim mozołem zdobywanego kredytu zagranicznego itd. Zwalnia to nas w chwili obecnej od powtarzania raz jeszcze tych rozumowań. Można jednak — mówiąc objektywnie — podchodzić do tegoż samego zagadnienia od innej strony. Można np. twierdzić, iż w chwili obecnej, kiedy deflacja w Polsce staje się naskutek jej przedłużającego się charakteru klęską już nie tylko gospodarczą ale i społeczną, kiedy poczyna żłobić w naszym organizmie gospodarczym rysy już nietylko konjunkturalne ale i strukturalne, kiedy oddziaływać poczyna na sytuację gospodarczą w dziedzinie populacyjnej, poziomu etyki ludności, spoistości społeczeństwa, wychowania młodzieży itd.), *opłaca się* — na dłuższą falę — ryzykować nawet tak fatalne skutki, jak utrata kredytu zagranicznego, osłabienie naszej pozycji międzynarodowej i temu podobne skutki ewentualnego kontrolowania równowagi bilansu płatniczego. Chodzi tylko o *punkt widzenia*, co jest w danej chwili i w danych warunkach ogólnych ważniejsze i bardziej na przyszłość celowe.

Oczywiście tego rodzaju uproszczone postawienie sprawy nie wyczerpuje wszystkich „nuance'ów" ewentualnej dyskusji. Można np. spierać się, czy tego rodzaju ożywienie gospodarcze, jakieby było w stanie odwrócić — przynajmniej w zasadniczej części — grożące nam na dalszą metę skutki pauperyzacji kraju, *musi* koniecznie grozić nam komplikacjami monetarnemi. Odpowiednie argumenty mogą wpłynąć w znacznej mierze na decyzję ostateczną. Ale zawsze pozostanie faktem, iż przy obecnej polityce możliwość komplikacyj wspomnianych jest nieomal nieistniejąca, podczas gdy przy każdej zmianie polityki — musi wzrastać.

Można uderzać argumentami jeszcze i na innych odcinkach. Można np. twierdzić, iż jeśli kiedyś komplikacje monetarne mogą *nie zabić* na dłuższą metę kredytu danego kraju, to właśnie dziś, kiedy właśnie jedna tylko Polska (obok Litwy) z krajów dłużniczych na kuli ziemskiej pozwala sobie na „luksus" prowadzenia klasycznej polityki monetarnej, a cały świat przyzwyczajony już jest do niewypłacalności dłużników — w tej lub innej jej formie. Można twierdzić, iż jeśli nasi wierzyciele (np. Włochy) uciekają się do ostrej reglamentacji dewizowej i doprowadzają się do częściowej niewypłacalności wobec zagranicy, ewentualność taka nie „skompromituje" takich notorycznych dłużników, jakimi jesteśmy my. Można twierdzić, iż niewiadomo, czy zajmowanie przez nas ostatnich miejsc w statystykach spożycia artykułów pierwszej potrzeby przez poszczególne kraje i stawanie się stopniowo „krajem żyta i ziemniaków" nie stanowi również sui generis „kompromitacji", która podziała na nasz kredyt międzynarodowy ujemnie — od innej strony, a mianowicie od strony oceny realnych sił fizycznych naszego organizmu gospodarczego. Można się zastanawiać, czy jest możliwe, aby *wszyscy* ci, którzy starają się przebrnąć przez depresję bez sprowadzania nieomal do zera potrzeb własnej lud-

ności, zostaną a limine i na długie dziesiątki lat wyrzuceni poza nawias międzynarodowego obrotu kapitałów...

A przedewszystkiem można wątpić, czy *wogóle* deflacyjna polityka może doprowadzić do wytworzenia się u nas jakiejkolwiek równowagi gospodarczej na jakimś nowym poziomie — i czy poziom ten jest w tej chwili już z wszelką pewnością zgóry do określenia. Tu właśnie należą owe wątpliwości co do możliwości pchnięcia naprzód działalności inwestycyjnej przy stałem działaniu w kierunku obniżenia cen, co do „zamknięcia nożyc" pomiędzy cenami rolnemi i przemysłowemi, co do celowości redukowania budżetu (nowy spadek spożycia...), co do słuszności wyrównywania rozpiętości pomiędzy wewnętrzną a zewnętrzną wartością pieniądza z pieniędzy podatkowych (premje) itd. A przedewszystkiem tutaj należy wątpliwość co do *terminu* ukończenia deflacji, terminu, który łączy się zazwyczaj ze stabilizacją walut światowych i wznowieniem międzynarodowego obrotu kapitałów — t. j. z faktami, które nie są określone w czasie żadnemi realnemi przesłankami i stają się przez to niemożliwe do przewidzenia.

Widzimy, iż można argumentować za zmianą obecnego kierunku polityki gospodarczej bardzo obficie i rzeczowo. Kontr - argumenty — za utrzymaniem status quo — znamy jeszcze lepiej i objektywnie przyznać musimy, że są... równie rzeczowe i obfite. Stajemy wobec konieczności decyzji....

Jest jednak moment, w którym nawet objektywne stanowisko zarysować się może zupełnie wyraźnie. To sprawa prowadzenia „deflacji niezupełnej". Na taką ewentualność zgodzić się nie moglibyśmy w żadnym razie. Jeśli istotnie argumenty deflacyjne raz jeszcze przeważą, to doprowadzić powinny one do *istotnego* programu deflacyjnego — bez zygzaków, które z dnia na dzień, być może, ułatwiają życie, ale właśnie doprowadzają do tego, iż poczynamy żyć *w stanie deflacji*, że przedłuża się ona zupełnie niepomiernie. Tak jak wkroczenie ewentualne na drogę ożywiania życia gospodarczego bez doprowadzania usque ad finem „równania wdół" musi być uwarunkowane dokładnie przemyślanym *programem*, tak też i decyzja o dalszem zaciśnięciu pasa *musi* mieć swój wykładnik w szeregu dziedzin, gdzie działa obecnie tylko połowicznie (budżet, ochrona dłużnika itd).

* * *

Staraliśmy się w krótkim szkicu „postawić problem". Raz jeszcze powtarzamy, iż zależy on od *subjektywnej* oceny wagi poszczególnych jego elementów przez odpowiedzialnych kierowników polityki gospodarczej. W tych warunkach brak opinji osobistej autora artykułu na temat obu kierunków polityki gospodarczej, omawianych powyżej, — fakt normalnie przemawiający na niekorzyść samych rozważań — musi być uważany, chyba, za uzasadniony.

STEFAN MEYER

DWIE MIARY

Przemysł w Polsce składa się z dwóch formacyj gospodarczo odrębnych. Warunki prawne ich działalności powinny być różnolite.

Dwie miary zastosowane w jednej dziedzinie, dwie skale dla jednego zjawiska. — Jakże sprzecznem z podstawowemi pojęciami moralnemi jest takie postawienie sprawy. Jakże razi nasze poczucie słuszności, nasze zrozumienie ścisłości, jakże zaprzecza możliwości dokonania pomiarów, porównań. Obala, zdawałoby się, fundament wielkich rozumowań.

A jednak bywają sytuacje, że w jednolitej, zdawałoby się, dziedzinie zastosowanie jednej miary, stosowanie jednolitej polityki, stosowanie tych samych norm dla każdego, jeszcze bardziej razi nasze pojęcie naukowe i moralne. Istnieją dziedziny w których „sprawiedliwą" jest właśnie niejednolita skala. Jeden przykład: progresywny podatek dochodowy. Ten jeden przykład starczy za tysiące: Czemuż to podatek osobisto - dochodowy w tak wielu krajach jest progresywnym, a nie wyraża się jednolitą stawką procentową? Bo nasze poczucie sprawiedliwości, poczucie konieczności wyrównanie szans społecznych każe nam stosować nie jedną miarę dla różnych objektów podatkowych w tej właśnie dziedzinie.

Wbrew obietnicy jeszcze jeden przykład: stawki podatku obrotowego. Czemuż te stawki są zróżnicowane w zależności od artykułów, od celów kupującego? Bo nasze poczucie słuszności i racje gospodarcze mówią nam, że jeden udźwignie to, czego drugi udźwignąć nie zdoła, że celowem, w imię rozwoju gospodarczego, jest nierówne obciążenie podatkowe.

Jednolita miara, jedna dla wszystkich i każdego, ideał sprawiedliwości i moralności może mieć zastosowanie jedynie w ośrodku homogenicznym. Możliwa jest w jednej fazie. Zasady mechaniki, które uczą nas jak postąpić z drągiem żelaznym są nieprzydatne dla żelaza w stanie płynnym. Inne jest prawo rozchodzenie się ciśnienia w słupie lodu, inne w wiadrze wody, inne w cylindrze pary. A skład chemiczny wody jest we wszystkich trzech wypadkach ten sam. Różne są jednak stany skupienia, różne fazy.

Życie gospodarcze — w Polsce w każdym razie (od innych chwilowo abstrahujemy) — nie jest formacją jednofazową — nie jest tworem jednolitym. Mnogość jego form, różnorodność jego formacyj — przy małym zakresie jego ogólnej wagi — jest zatrważająca. Możnaby bezmała zaryzykować twier-

dzenie, że co branża to inna formacja gospodarcza. — Tak źle nie jest, ale też o „życiu gospodarczem" jako o czemś jednolitem, jednofazowem, mowy być nie może.

Ustawodawstwo gospodarcze Polski też nie traktuje wszystkich jednakowo. W rozmaitych dziedzinach istnieje szereg specjalnych ustaw. Cukrowa, węglowa etc. Ustawa przemysłowa, uznając w zasadzie jednolitość swobody procederu, stwarza szereg wyjątków, każdy w imię specjalnych zasad lub celów.

W ogólnych zarysach jednak podstawowe ustawy, te które najbardziej się na życiu odbijają, ustawy podatkowe są jednolite; mają tendencję ku spinaniu klamrami w jeden twór zjawisk zgoła heterogenicznych. Choćby ustawa o podatku dochodowym o jednej skali dla indywiduów i aglomeracji zarobkowych udziałowych.

Celem gospodarczego kompleksu ustaw jest stworzenie warunków możliwie największego i najszybszego wzrostu bogactwa narodowego scil. wzrostu stopy życiowej całego narodu, wzrostu jego instalacji użyteczności publicznej, oraz wzrostu towarów w obiegu.

Drugą grupą celów, której nie wolno pominąć przy analizowaniu ustaw gospodarczych jest grupa społeczna, (można ją uważać za implicite zawartą w słowach „wzrost stopy życiowej *całego* narodu"). Celem społecznym jest równomierny rozkład możliwości korzystania z dochodu narodowego. (Tu różnię się zasadniczo od tych co wołają o równomierny podział dochodu; — wystarczy równomierne korzystanie). Nie jest koniecznem, aby krzywa Lorenza przebiegała po przekątnej wykresu, ale konieczne jest takie odchylenie, aby nie stanowiło ono o zawodzie następnego pokolenia. Do celów społecznych zaliczyłbym także swobodę wyboru procederu. Była chwila w historji Europy, chwila co fatalnie zaważyła na dziejach wielu stuleci, gdy o tej swobodzie zpomniano, gdy cesarz Walentynian przywiązał dziedzicznie chłopa do gleby, a mieszczucha do warsztatu.

Takie przywiązanie może być dokonane nie tylko ustawowo. Może nastąpić siłą presji gospodarczej — i tu zarysowuje się granica dwóch faz gospodarczych: nazwijmy je: wolnokonkurencyjną i związaną, a ich przedstawicieli wolniakami i wiązakami. W fazie wolnokonkurencyjnej, warsztatowej, drobnofabrykacyjnej nie może powstać przywiązanie człowieka do warsztatu via facti. W fazie związanej, koncernowej powstaje feodalizm gospodarczy, a ten łatwo przeradza się w feodalizm dziedziczny. Nie tyle na stanowiskach przodujących, o które idzie zacięta walka, co na stanowiskach oficerskich, a zajęciu których decyduje solidność i zaufanie: Znam w Norwegji dyrektora fabryki włókienniczej w trzeciem pokoleniu, bez udziału w portfelu rządzącym. W Polsce istnieją dzierżawy idące kilka pokoleń z ojców na dzieci (w Płockiem, w Zamojszczyźnie). Feodalizm przemysłowy istnieje u nas zbyt krótko, aby dynastyczność się wyraziła jaśniej. W innych krajach, zwłaszcza tam, gdzie monopol faktyczny każe dbać o zespół, aby przez rozbicie zespołu nie ułatwić powstania konkurencji, w takich koncernach pewne stanowiska są dziedziczne — bez związania jednak z daną fabryką. Wśród robotników fabryk prowincjonalnych dziedziczność występuje najwyraźniej. Naskutek przyczyn topograficznych.

Zupełna równość podziału dochodu społecznego (krzywa Lorenza*) równa przekątnej) dawałaby społeczeństwo o równych szansach wybijania się na stanowiska: o równych możliwościach stwarzania tych stanowisk drogą rozbudowy placówek. Tak jednak nie jest. Społeczeństwo jest zróżnicowane pod względem dochodowym, jest rozczłonkowane pod względem roli w procesie wytwórczym, jest rozłożone na warstwy i klasy, które jego warstwy są gospodarczo najcenniejsze?

Za najcenniejszą w dzisiejszych warunkach Polski uważam tę warstwę, która ma szanse rozbujest rozłożone na warstwy i klasy. Które jego warsztatów pracy.

W dzisiejszem stadjum rozwoju demograficznego Polski naczelnem hasłem powinno być nie „panem" tem mniej „circenses" lecz „laborem".

Zapewnić zatrudnienie można nie rozbudową kolosów fabrycznych, a rozbudową ilości warsztatów, przedewszystkiem ich różnorodnością. Fakt ten był wielokrotnie podnoszony w prasie.

Nowe warsztaty najłatwiej powstają wśród wolniaków, a mianowicie w granicach od drobnomieszczaństwa do małego przemysłu.

To jest najcenniejsza pod względem gospodarczym warstwa społeczna.

Polityka gospodarcza powinna być nastawiona obecnie na rozudowę tej warstwy społecznej, na rozrost tej fazy gospodarczej.

Ale polityka gospodarcza nie może w dążeniu do rozbudowy zapominać o zbudowanem. W dążności do wzrostu średniego i drobnego mieszczaństwa nie wolno zapominać o tem co już istnieje w innych formacjach, o przemyśle ciężkim, o monopolach i oligopolach, o tworach fazy późnokapitalistycznej, o tworach doby koncernowej, o wiązakach.

To co jest nie może być poświęconem dla tego, czego niema.

I tu nastręcza się zagadnienie: czy można jedną miarą mierzyć obie fazy? Czy obie formacje są do kierowania i kontrolowania instrumentem tych samych ustaw? Czy sposób opodatkowania ich może być jednolity? Czy w jednakowej mierze powinny warsztaty ceramiczne i cementownie podlegać

---

*) Krzywa Lorenza jest krzywą, której współrzędnemi są otrzymujący dochód, uszeregowani wg. rosnących dochodów, oraz ich dochód ogólny. Gdyby wszystkie dochody w społeczeństwie były równe np. „a" na każdego uzyskującego dochód, wówczas rzędne byłyby wprost proporcjonalne do odciętych, $y = ax$ i otrzymalibyśmy prostą: gdyby natomiast cały dochód społeczny skoncentrowany był w ręku jednego człowieka, reszta zaś dochodu nie posiadała wcale, mielibyśmy $y = 0$ aż do ostatniego obywatela a wówczas $y =$ dochód społeczny. Krzywa składałaby się z dwóch prostych — poziomej i pionowej.

ustawom społecznym. Czy huta górnośląska i fabryka spinaczy do papieru w jednej mierze podlegać powinny rygorom ochrony pracy?

Czy mamy w produkcji miejskiej do czynienia z dwoma fazami: rzemiosłem: i przemysłem, czy z trzema: z rzemiosłem, z przemysłem i z wielkim przemysłem, tworem nowym o nieustalonej dotychczas nazwie? Tworem, będącym jednak z pewnych względów inną formacją gospodarczą niż przemysł starego autoramentu i mającym inny zupełnie wpływ na oblicze społeczne narodu.

Bodaj że to drugie; w ciągłym rozwoju narodu, gospodarstwo nasze wkroczyło niepostrzeżenie w to stadjum, gdy mamy do czynienia z trzema formacjami produkcji miejskiej. Urzędujący Minister Przemysłu i Hadlu przy otwarciu XV Targów Wschodnich wspomina, że wolniaki i wiązaki różnie się do Targów ustosunkowali, stwierdza więc, że reakcja tych dwóch faz na te same zjawiska gospodarcze jest różna. Różnem jest ich ustosunkowanie do pewnych zjawisk, oraz zagadnień, — różnym zakres zainteresowań. Nic dziwnego, że różnym powinien być i stosunek do nich. Trojaka więc musi być miara.

Stoi przed nami zasadnicza, pilna i niezmiernie ważna sprawa, którą rozwiązać Polska musi w ciągu możliwie krótkiego czasu: *reforma podatkowa*. Na miejsce obecnego aglomeratu stworzyć musimy system. Przed przystąpieniem do szczegółów musimy ustalić zasady przyszłego systemu podatkowego i na wstępie stoi przed nami pytanie: Jakie podatki najmniej obciążą przyszłość gospodarczą Polski przy tej samej wydajności w dniu dzisiejszym.

Odpowiedź na to pytanie nie jest jednolita. Inaczej odpowie każda z trzech formacyj produkcji i bodaj że każda będzie miała rację. Bo każda inaczej reaguje na dany typ obciążeń podatkowych. I obciążenia będą musiały być rozmaite, uwzględniając różnorodność faz gospodarczych.

W podatkach obciążających „przemysł“ będziemy musieli zastosować conajmniej dwie miary.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

REWIZJA POJĘĆ

Zmienność form życia zmienia treść pojęć w umysłach mas, podczas gdy nauka ma tendencje do operowania pojęciami o stałem znaczeniu.

Słowa, a raczej odpowiadające im pojęcia, rodzą się, rozwijają i umierają — czasem na uwiąd starczy, a czasem pod ciosami rzeczywistości. Pewien uczony chiński twierdził, że zasadniczą różnicą pomiędzy kulturą europejską a chińską jest zmienność pojęć europejskich i stałość chińskich. Różnica ta wynikać miałaby z odmiennego systemu pisma, a mianowicie stąd, że pismo literowe nie przeszkadza zmienności treści pomimo niezmienności słów, podczas gdy w piśmie ideograficznem treść pojęciowa danego znaku pozostaje wciąż ta sama. Chińczyk upatrywał w tem wyższość i źródło kultury chińskiej. My skłonni jesteśmy upatrywać wartość naszej kultury w śmiertelności naszych pojęć, gdyż ta śmiertelność zapewnia kulturze rozwój i postęp.

Rzeczywistość dzisiejsza powoduje zmianę wielu pojęć i doktryn. Szczególnie pouczająca jest zmiana pojmowania słowa „nadprodukcja“, oraz losy teorji nadprodukcji jako głównej przyczyny wszystkich klęsk gospodarczych.

Niepotrzeba chyba udawadniać, że popularność tej teorji upada. Wystarczy czytać prasę, słuchać ludzkich rozmów i sięgnąć przytem pamięcią kilka lat wstecz, ażeby stwierdzić, iż tłumaczenie obecnego kryzysu nadprodukcją zanika i w prasie i w ludzkich umysłach. Rzecz przytem ciekawa, teorja kryzysu jako zjawiska nadprodukcji, upada nie wśród dyskusji między uczonymi w piśmie i nie pod ciężarem argumentacji naukowej, lecz wskutek nastrojów szerokich sfer społeczeństwa.

Znamy wszyscy główny argument: „nie może być mowy o nadprodukcji skoro wszystkiego brak, skoro ludzie chodzą bosi, goli i głodni“. Możnaby powiedzieć, że nie jest to argument naukowy, że fakt, iż teorja naukowa nie jest *oczywista* nie dowodzi, iż jest *nierzeczywista* — egzemplum teorja Kopernika o ruchu ziemi dookoła słońca. Nie jest niedorzecznem przypuszczenie, że na świecie uchowało się jeszcze sporo zwolenników teorji nadprodukcji, jako przyczyny kryzysów. Ale oni milczą, bo czują podświadomie, że teorja nadprodukcji razi poczucie moralne dzisiejszej ludzkości co—w połączeniu z faktem, iż przeczy ona oczywistej oczywistości, — czyni ją wręcz niestrawną dla współczesnej umysłowości mimo całej jej wewnętrznej logiki i prostoty. Ludzkość dzisiejsza została wychowana w kulcie dla nauki. Wierzy Einsztajnom, Plankom i Skłodowskim, choć nic nie rozumie z tego co oni mówią i piszą, wierzy w atomy, kwanty i elektrony, choć ich nie widzi i nie rozumie o co chodzi. A w dziedzinie nauk ekonomicznych upada jasna, logiczna i przejrzysta teorja naukowa, ponieważ wchodzi w sprzeczność z poczuciem moralnem. Potwierdza się w ten sposób pogląd tych twórców ekonomji społecznej, którzy głosili, iż nauka ta, jako nauka społeczna, musi być w zgodzie z etyką. No, a poza tem nasuwa się optymistyczny wniosek, że zdrowy rozsądek i poczucie moralne ludzkości nie przechod ą tak głębokiego kryzysu, jak gospodarka dobrami materjalnemi.

Wyjaśnić należy, że między ekonomistami, a szeroką opinją publiczną istniało zawsze nieporozumienie co do znaczenia pojęcia „nadprodukcja“.

W nauce słowo to oznaczało zawsze nadmiar dóbr w stosunku do możliwości zbytu po cenie rentownej lub dostatecznie rentownej, szeroki ogół zaś pojmował zawsze to słowo à la lettre, to znaczy jako nadmiar w stosunku do istniejących potrzeb. Stąd właśnie narodził się w epoce powszechnego zubożenia konflikt moralny między masami a ekonomistami, szafującymi słowem „nadprodukcja", konflikt likwidujący się powoli w ten sposób, że ekonomiści zmuszeni są używać terminu „nadprodukcja" w tem znaczeniu, w jakiem go pojmują masy, a wobec braku, w jakiejkolwiek dziedzinie gospodarczej nadprodukcji w tem dosłownem znaczeniu przestają wogóle o niej mówić i pisać. Zamiast tego używa się jednak słów „nadwyżka", „nadmiar" z dodatkowem określeniem — „ponad chłonność rynkową" — „ponad zapotrzebowanie" — „ponad zdolność nabywczą" itd. Określenia te są o wiele bardziej precyzyjne i o powstanie różnic na tle ich interpretacji jest już znacznie trudniej.

Mamy tu zatem do czynienia ze zmianą terminologji naskutek zdepopularyzowania się zbyt spopularyzowanego pojęcia. Okoliczność ta nie wystarczyłaby sama przez się do obalenia omawianej teorji, dość mocno lansowanej na początku kryzysu. Wkrótce jednak zbyt jasnem się stało, że jest ona lansowana przez te czynniki w gospodarce światowej, których „ulubionem" zajęciem jest ograniczenie produkcji. Wówczas nastąpiła owa reakcja psychiczna mas, która uczyniła publiczne głoszenie teorji nadprodukcji zajęciem wręcz niebezpiecznem.

Formalnego, naukowego obalenia teorji nadprodukcji nie było i prawdopodobnie nie będzie. tłumaczyła ona dobrze rzeczywistość w ustroju wolnej konkurencji, kiedy automatycznie tworząca się na rynku cena regulowała podaż. Dziś, w epoce gospodarki związanej i świadomego regulowania podaży w celu osiągnięcia zgóry określonej ceny lub świadomej polityki zmienności siły nabywczej pieniądza, mechanizm powstawania kryzysu i jego przebieg zyskują nowe oświetlenie. Logika tego wniosku w połączeniu z nastrojem emocjonalnym sprawia, że myśl ludzka zaczyna poszukiwać przyczyn zła, przeskakując nad starą i zdawałoby się doskonale utrwaloną teorją bez jej formalnej rewizji. Rewidowanie teoryj to jak na dziś bezprzedmiotowe zajęcie. Dziś trzeba rewidować pewne podstawowe pojęcia, by potem z nowych pojęć budować nowe teorje, chociaż być może bardzo podobne do starych.

Moralna dyskwalifikacja starego ekonomicznego pojęcia „nadprodukcja" powinna wytyczyć drogi zarówno rewizji pojęć jak i rewizji terminologji oraz rewizji formuł wypowiadających pewne tezy gospodarcze, gdyż ważnem jest nietylko to, co się mówi ale również to jak się mówi. My używamy w mowie potocznej i publicystyce pojęć oraz formuł myślowych będących bądź anachronizmami, bądź produktami bardzo jednostronnego oglądania świata przez wąskie środowiska, mające wpływ na tworzenie się rzeczywistości i na „produkcję umysłową". Ten stan rzeczy staje się niebezpiecznym, gdyż w warunkach powszechnego interesowania się społeczeństwa zjawiskami gospodarczemi może nastąpić zerwanie łączności między szerokim ogółem a tymi, których zadaniem jest porządkowanie i systematyzowanie myślowego dorobku ludzkości w dziedzinie zjawisk gospodarczych.

Konkretnie rzecz biorąc, zastanówmy się objektywnie nad używanemi przez naszą publicystykę zwrotami: Spotykamy naprzykład ciągle wyrażenia „nadmierna rozbudowa ubezpieczeń społecznych", „nadmierna rozbudowa szkolnictwa", „nadmierny budżet państwowy", „nadwyżki zbożowe", nadwyżki hodowlane". Doprawdy możnaby pomyśleć, że jesteśmy krajem wszelkiego rodzaju nadmiarów! Bądźmy jednak sprawiedliwi — czasem dodaje się do słowa „nadmierny" uzupełnienie: „w stosunku do możliwości", wtedy jest wszystko logicznie w porządku — tem nie mniej zacytowane powyżej zwroty muszą razić tych wszystkich, a jest ich dziś miljony, których przynależność do społeczeństwa nie zabezpiecza przed najskrajniejszą nędzą, tych, których dzieci nie mogą się dostać do szkoły z braku miejsca, którzy nie mają chleba, nie oglądają nabiału czy mięsa. Lektura Pamiętników Bezrobotnych i Pamiętników chłopów ilustruje w sposób dosadny reakcję „szarego człowieka" na wywody publicystów i ekonomistów. Częściowo ten szary człowiek ma zupełną rację, (w stosunku do wszystkich prób usprawiedliwienia zła, gdyż zło nie może być usprawiedliwione), ale w lwiej części wypadków chodzi o nieporozumienie, wywołane przyjętemi zwrotami i terminologją.

A nieporozumienia te mogą być dość prosto załatwione. Ekonomiczny punkt widzenia nie może pomijać zagadnienia istniejących potrzeb, nasza zaś „kryzysowa" terminologja ujmuje wszystko od strony rozporządzalnych środków i tak zwanych realnych możliwości, to znaczy możliwości bez wysiłku woli i myśli. Te dwa punkty widzenia muszą być ze sobą stale łączone, jeśli chcemy żeby nasze słowa i myśli miały moc przenikania ludzkich umysłów i moc kształtowania rzczywistości. Żaden bowiem system myślowy, podobnie jak norma prawna czy ustrój społeczny lub gospodarczy nie utrzyma się a la longue, jeśli będzie sprzeczny z poczuciem moralnem społeczeństwa.

Brak środków nie czyni niezaspokojonej potrzeby nielegalną czy niedorzeczną. Jeśli cokolwiek wymaga wytłumaczenia i usprawiedliwienia się, to istnienie braku środków, a nie istnienie potrzeby.

Dlatego nie mówmy o nadmiernej rozbudowie ubezpieczeń czy szkolnictwa, ale tłumaczmy brak środków na pokrycie istniejących w tym zakresie potrzeb społecznych, potrzeb, które a priori powinny być uznawane za słuszne. Stwierdzenie faktu sprzecznego z postulatem nie jest równoznaczne z obaleniem słuszności postulatu, jak się wydaje wielu ludziom, którzy stwierdzeniem braku środków chcą zdyskwalifikować samą ideję ubezpieczeń społecznych czy realizację programu bez-

płatnego i rzeczywiście powszechnego nauczania w ramach 7-mio oddziałowej szkoły.

Nasza terminologja ekonomiczna powstała w epoce wolnej konkurencji i dla tego odzwierciedla stosunki panujące w tym okresie, reprezentuje kąt widzenia przemysłowca i kupca, zmagającego się z żywiołem wolnego rynku, usiłującego przewidzieć konjunkturę, ocenić popyt i podaż, przystosować koszty produkcji do panujących cen, ze świadomością, iż wszystkie te zjawiska nie są od niego zależne.

Ówczesny producent mógł w pewnych wypadkach poniechać produkcji, mówiąc, iż jest ona nieopłacalna. To była jego prywatna sprawa i nic to nikogo nie obchodziło, gdyż jeśli popyt istniał to znalazła się zawsze dostateczna podaż. Poziom techniki produkcji oraz ogólny poziom cen łącznie z ogólną siłą nabywczą społeczeństwa regulowały wysokość produkcji i spożycia zgodnie z możliwościami danego społeczeństwa na danym poziomie kultury materjalnej.

Dziś porozumienie producentów może w każdej chwili zmniejszyć produkcję, a więc i konsumcję jakiegoś towaru znacznie poniżej poziomu kultury materjalnej społeczeństwa, i poniżej istniejących zwyczajowo potrzeb społecznych, nawet biologicznych, zasłaniając się nieopłacalnością, a równocześnie podnosząc ceny powyżej przeciętnego poziomu i niewspółmiernie do cen innych dóbr, których produkcja i spożycie jest nie mniej, a nawet więcej ważne ze społecznego lub biologicznego punktu widzenia. Wiemy jak to w praktyce wygląda: w społeczeństwie rozporządzającem pewną siłą nabywczą wysokie ceny kartelowe muszą dławić ceny wolno-rynkowe i stąd powstają osławione nożyce. Widzieliśmy również, jakie skutki daje raptowne zniknięcie kartelu (cementowego np.) — ceny spadają, a produkcja rośnie, więc widocznie opłaca się.

Sens tego wszystkiego jest zupełnie jasny: nieopłacalność w ustach bussinesmana XIX wieku, a współczesnego dyrektora kartelu, to tylko jednakowe słowa, ale inna jest ich treść, inne budzą skojarzenia i inne mają na względzie interesy. Ekonomista, który uczył się teorji ekonomicznej w szkole od klasyków ekonomji, uczy się pojmować znaczenie słów po dawnemu. Czytająca publiczność zaś pojmuje je życiowo, a więc tak, jak dyrektor kartelu, czuje bowiem, choć nie zawsze wie, że inaczej należy rozumieć słowo „nieopłacalność“ w ustach człowieka, który nie może podnieść ceny, a inaczej tego, który może to zrobić i zrobi zawsze jak może, podczas gdy pierwszy nie ma innej drogi, jak szukanie możliwości obniżenie kosztu.

Operowanie dzisiejszem pojęciem nieopłacalności w rozważaniach typowych dla ekonomji klasycznej może doprowadzić do bardzo interesujących i wręcz niedorzecznych wniosków. Obecna rozpiętość cen przemysłowych i rolnych czyni naprzykład „nieopłacalną“ produkcję rolną, a jednak rolnicy nadal orzą i sieją, upada tylko kultura rolna. Rolnicy są niezorganizowani i nie są w stanie planowo ograniczyć produkcji po to, by podnieść ceny.

To prawda. Ale czy jednak możliwy jest taki stan rzeczy, żeby nieopłacalność rolnictwa spowodowała upadek produkcji do poziomu powodującego śmierć głodową setek tysięcy ludzi? Wiadomo, że był taki eksperyment w 1932 roku w ZSRR., ale on się już nie powtórzy. Ograniczenie bowiem produkcji dóbr o najwyższej krańcowej użyteczności nie jest a la longue możliwe. Tam, gdzie chodzi o życie zagadnienie opłacalności nie istnieje. Chłop będzie siał, bo musi jeść. Można więc na tem spekulować, podnosząc ceny wyrobów przemysłowych, ale tylko do granicy, na której następuje wyczerpanie naturalnych sił produkcyjnych rolnictwa, a więc wydajności gleby, trwałości narzędzi, sił inwentarza żywego i wreszcie samych ludzi.

I wtedy staniemy wobec porównania krańcowej użyteczności rolnictwa i przemysłu jako całości, oraz porównania użyteczności z jednej strony życia miljonów ludzi, którzy przy takim poziomie rolnictwa nie będą mogli na danem terytorjum wyżyć, a z drugiej nielicznej grupy dysponentów przemysłu.

Wybór jest oczywiście rzeczą gustu. W ZSRR. zagłodzono podobno miljony chłopów. Była to kara za to, że nie chcieli siać, bo się im nie opłacało. Po stronie dysponentów przemysłu w ZSRR. była siła, więc naprzód postawili na swojem, a na następny rok cofnęli się „dobrowolnie“. Czy w sumie to wszystko było opłacalne z jakiegoś ogólnego punktu widzenia?

O ten jakiś ogólny punkt widzenia właśnie chodzi. Mamy, w stosunku do całości budżetu państwowego, bardzo wysokie wydatki na obronę narodową. Dlaczego nie pisze się o „nadmiernej rozbudowie wojska“? Są zapewne tacy, coby tak napisali, ale się boją, bo istnieje w tej sprawie zbyt silna świadomość społeczna, że wydatki na wojsko są poza kategorjami opłacalności i celowości czysto gospodarczej. Zabezpieczenie bytu państwa nie jest zagadnieniem gospodarczem. A czy zagadnienie wzrostu liczebnego narodu jest zagadnieniem gospodarczem? Inaczej — czy istnieją w tej sprawie gospodarcze kryterja celowości? Oczywiście nonsens. Hierarchję celów państwowych i narodowych ustala się na innej podstawie, a kwestje gospodarcze są tu tylko kwestją środków.

Żyjemy w okresie, gdy cele zbiorowe zdecydowanie dominują nad indywidualnemi. Terminologja ekonomiczna, sposób posługiwania się słowami i pojęciami musi odzwierciedlać ten stan rzeczy, inaczej bowiem będziemy rozmijać się z tymi, co nas czytają. Albo jeszcze inaczej: przestaną nas czytać.

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

ROZWAŻANIA PROGRAMOWE

Potrzeba programu gospodarczo - społecznego staje się coraz wyraźniej potrzebą chwili. Chcąc ustalić założenia tego programu musimy sobie jasno zdać sprawę z decydującej roli elementu czasu (momentu rozpoczęcia i okresu, który możemy przeznaczyć na realizację wybranego programu).

Ustalanie t. zw. „punktów zwrotnych" historji w momencie jej stawania się należy naogół do zajęć mało wdzięcznych. Inaczej bowiem wyglądają zdarzenia oglądane z odległości godzin lub dni, inaczej z perspektywy lat. To też przyszłość podkreśli zapewne inne momenty decydujące o biegu życia Państwa jako „punkty zwrotne" niż te którebyśmy wytyczyli dzisiaj.

Temniemniej pisząc, czy zastanawiając się nad obecną sytuacją Polski trudno jest oprzeć się pokusie określenia przeżywanego właśnie okresu jako jednego z „punktów zwrotnych". Uchwalenie nowej konstytucji, śmierć Marszałka, nadały nowy bieg losom Rzeczypospolitej. Wydarzenia kilku najbliższych tygodni zadecydują o tem, jakie formy przybierze praktyka rządzenia krajem w nowych warunkach. Ten stan rzeczy wytwarza szeroko rozpowszechnione przekonanie, iż żyjemy obecnie „na zakręcie" historji. Wydaje się, że już sam fakt takiego nastawienia szerokich rzesz decyduje o wadze przeżywanych dni. Wydaje się również, że chwila obecna jest szczególnie wskazana dla ustalenia miejsca, jakie w życiu Państwa powinna zająć polityka społeczna i gospodarcza.

Pojęcie „programu" w zakresie spraw społeczno - gospodarczych jest zwykle fałszywie rozumiane. Mimowoli powstają skojarzenia myślowe z terminem „planowa gospodarka', czy na tle ostatnio często dyskutowanej kwestji nakręcania konjunktury z pojęciem „programu inwestycji". Stąd negatywne stanowisko tych wszystkich, którzy są przeciwni dalszej etatyzacji życia gospodarczego, czy próbom nakręcania konjunktury w stosunku do wszelkich rozważań na temat programu gospodarczego. Tego rodzaju uproszczone traktowanie sprawy wynika z zapoznania faktu, że polityka gospodarcza jest tylko fragmentem ogólnej polityki państwa i, że nie zawiera zwykle celów „samych w sobie" lecz służy jakimś poza nią leżącym zadaniom. Zadania te zbiegają się wszystkie w jednym celu: zapewnienia Państwu jaknajwiększej potęgi. Rozłożenie w czasie poszczególnych zadań stanowi program ogólnej polityki Państwa.

Ustalenie poczynań z dziedziny polityki społecznej i gospodarczej, które mają służyć do osiągnięcia najbliższego etapu wytyczonego w programie polityki ogólnej, stanowi właśnie program społeczno - gospodarczy.

Program taki może wyglądać rozmaicie. Może opierać się na realizacji zasady „enrichissez vous", z ograniczeniem funkcji Państwa do roli „stróża nocnego". Może polegać wprost odwrotnie: na konsekwentnem dążeniu do stałego rozrostu funkcyj państwa w gospodarce narodowej, na ograniczaniu swobody podmiotów gospodarujących, na częściowem, czy całkowitem odbieraniu prawa własności.

Jedno jest wspólne wszelkim programom gospodarczym: element czasu. Stosunek Państwa do spraw społecznych i gospodarczych uzależniony jest od momentu i musi być jakoś ustalony w czasie.

A więc np. Stołypin na kilka lat przed wojną za najważniejsze zadanie chwili uważał przeprowadzenie reformy rolnej. Realizację tego przedsięwzięcia rozkładał na kilkanaście lat, licząc, że ma tyle lat spokoju. Sowiety dążą do uprzemysłowienia kraju. Poszczególne etapy tego zadania próbują realizować w ramach planów pięcioletnich. Niemcy jako najwyższe zadanie w swej obecnej hierarchji celów stawiają odbudowę siły zbrojnej. Jednocześnie wcielają w czyn program dania zatrudnienia bezrobotnym. Dla osiągnięcia tych dwuch zadań koncentrują na krótkim odcinku czasu możliwe do mobilizacji środki gospodarcze. Stwarzają cały system „krótkometrażowej" polityki gospodarczej, rzucają na szalę wszystko, mając jako jedyną wiadomą w dalszej przyszłości pewność, że na poparcie swych argumentów za dwa czy trzy lata będą miały silną armję. Jak wygląda ten element czasu w odniesieniu do polskiej rzeczywistości?

A więc przedewszystkiem moment: okres zwrotny w systemie rządzenia Państwa.

Sytuacja społeczno - gospodarcza: pół miljona przyrostu rocznie. Duże bezrobocie strukturalne na wsi, grożące dalszą pauperyzacją i zaostrzeniem stosunków społecznych. Siła kupna ludności wiejskiej wskutek spadku cen artykułów rolnych spada do poziomu nie notowanego od pierwszej połowy XIX w.

Złagodzenie sytuacji społecznej wsi mogłaby w pewnej mierze przynieść z sobą radykalna reforma rolna. Radykalne przeprowadzenie reformy rolnej kryje w sobie sprzeczność punktów widzenia społecznego i gospodarczego. Rezultatem jej byłby bowiem nieuchronny spadek rozmiarów produkcji i obniżenie się ogólnej kultury rolnej kraju. Słuszna z punktu widzenia gospodarczego powolna realizacja reformy rolnej nie rozwiązuje sprawy społecznej. Wszelkie próby przebudowy ustroju rolnego (stopniowe czy gwałtowne) stanowią rodzaj budowy „zamków na piasku" do czasu gdy nie zostanie uregulowana sprawa niepodzielności warsztatów rolnych poniżej pewnego minimum, od którego zaczyna się potrzeba.. „upełnorolniania". Przeprowadzenie zasady niepodzielności drobnych warsztatów rolnych napotyka na trudności: bez zapewnienia nadmiarowi rąk roboczych odpływu do miast, stworzenie niepodzielnych zagród przyczy-

niłoby się do zaostrzenia stosunków społecznych na wsi. Przy tem jeszcze jedno: zapas ziemi, mogącej stanowić objekt parcelacji jest niewielki. Nie wystarczy on nawet do obdzielenia już istniejącego nadmiaru ludności wiejskiej. W każdym zaś razie nie można liczyć na to, by na roli mogły znaleźć właściwe zatrudnienie przybywające co roku nowe ręce do pracy. Z tych pół miljona par rąk zaledwie część niewielką jest w stanie wchłonąć emigracja. Tak czy inaczej pozostaje tylko jedna możliwość, jedna droga dla zatrudnienia przybywających rąk: uprzemysłowienie.

O potrzebie uprzemysłowienia kraju jako najwyższej konieczności polskiej gospodarczej racji stanu pisano już niejednokrotnie. Dopiero jednak ustawienie w czasie i rozważenie możliwości jakie istnieją w zakresie uprzemysłowienia w perspektywie najbliższych lat może nam dać odpowiedź na dręczące nas zagadnienie w jakiej mierze drogą uprzemysłowienia kraju możemy dojść do zatrudnienia przybywającej co roku pół-miljonowej rzeszy.

Mamy tanie, bardzo tanie ręce robocze. To nasz główny atut. Jak wyglądają pozostałe elementy które decydują o możliwości rozwoju przemysłu? Surowce i półfabrykaty drogie. Jest to domena karteli, które dzięki wysokiej ochronie celnej utrzymują ceny na wysokim poziomie. Maszyny importowane obłożone wysoką stawką celną. Maszyny krajowe drogie. Koszt energii (węgiel, produkty ropne, elektryczność) wysoki. Kapitał pieniężny szuka pewnej, wysoko-oprocentowanej lokaty w instytucjach finansowych — ucieka od ryzyka nieuchronnie związanego z przedsiębiorstwem przemysłowem. Kredyty scentralizowane w paru instytucjach, trudno dostępne, zwłaszcza dla przedsiębiorstw prowincjonalnych. Wysokie podatki, wysokie świadczenia socjalne. Nastawienie społeczeństwa przeciwne przedsiębiorczości, prywatnej inicjatywie zarobkowej — „światopogląd emerytalny". Aparat handlowy źle i drogo pracujący.

Są to wszystko truizmy. Lecz są to zarazem — trzeba to sobie raz jasno powiedzieć—czynniki, które decydują o tem, że w dziedzinie uprzemysłowienia nie idziemy naprzód. Nie dość na tem: traktaty handlowe zawarte w ciągu ostatnich paru lat petryfikują nasz udział w handlu światowym przedewszystkiem jako eksportera surowców i półfabrykatów. Nasz eksport wyrobów gotowych zepchnięty został z naturalnych terenów ekspansji (kraje bałkańskie i bliskiego wschodu) i błąka się po coraz bardziej egzotycznych i coraz mniej lukratywnych rynkach zbytu.

Możliwości rozwoju przemysłu przez rozwój produkcji eksportowej są więc ograniczone.

Reasumujmy: wskaźnik produkcji przemysłowej jest o ⅓ niższy niż w 1928 r. Cofnijmy się więc — zyskując jednocześnie przez te siedem lat przeszło 3 miljony nowych par rąk do pracy.

Tak wygląda sprawa uprzemysłowienia.

W końcu ub. roku w artykule p. t. „Najsłabszy punkt" p. W. Dębowiecki sformułował na łamach „Gospodarki Narodowej" swój pogląd, iż sytuacja gospodarcza hamuje nasze tendencje rozwojowe, „gdyż trudno jest budować mocarstwo na pustych brzuchach". Od tego czasu rozwój wypadków poszedł dalej w kierunku... niepożądanym. Już nikt dzisiaj nie wątpi, że tak dalej być nie może! Stajemy na rozdrożu. Potrzeba zmian w naszej polityce gospodarczej kształtuje się wyraźnie.

Wybór dróg zależy od jasnego zdania sobie sprawy z tego wiele czasu mamy. Jeżeli mamy więcej, to możemy szukać dróg wyjścia w zakresie konsekwentnej realizacji programu usunięcia tych wszystkich przeszkód, które utrudniają uprzemysłowienie kraju. Nazwijmy ten program programem konsekwentnej deflacji — bez eksperymentów, bez ryzyka.

Jeżeli czasu mamy mniej, to być może, że wzorem innych państw będziemy musieli zacząć grać va banque, jako pierwszy najbliższy cel stawiając zbrojenia, (których efektu jako środka „nakręcania" konjunktury i złagodzenia tem samem sytuacji na rynku pracy nie należy nie doceniać).

Tak czy inaczej czeka nas zaostrzona walka o miejsce pod słońcem *). Wybór broni może nam być narzucony. To też materjałów do ustalenia programu gospodarczego winno dostarczyć przedewszystkiem Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

---

*) Z jednej strony, wskutek wzrostu napięcia sytuacji w kraju (wzrastające bezrobocie strukturalne). Z drugiej strony w wyniku dążenia prawie wszystkich państw świata do ograniczania obcej ekspansji gospodarczej i wzmocnienia własnej siły gospodarczej na wypadek wojny.

UWAGI

PRZED OBNIŻKĄ

Wszystkie „znaki na niebie i ziemi" wskazują, że w najbliższym czasie (nie czekając na spłatę pożyczki inwestycyjnej) rząd przeprowadzi obniżkę pensyj urzędniczych. Jeżeli tego nie uczyni w październiku, to zrobi tak w listopadzie, gdyż zmuszają go do tego stałe i nie malejące deficyty budżetowe.

Ale — czy istotnie zmuszają? Czy obniżka płac urzędniczych nie jest (i to nie po raz pierwszy) pójściem po linji najmniejszego oporu? Czy, wreszcie, można się naprawdę spodziewać urwania łba hydrze deficytu przez mechaniczną redukcję wydatków osobowych, która przy stopie 10% da zaledwie 81 milj. zł. rocznie?...

Zagadnienie urzędnicze w Polsce nie jest tak proste, jak to wskazują dokonane i zamierzone „operacje" na pensjach urzędników państwowych. Pomijając już ten fakt, iż mało gdzie (poza Rosją chyba) tyle się wymaga od urzędnika, co w Polsce, pomijając również okoliczność, iż pobory urzędnicze stoją w pewnym związku z — moralnością publiczną, podkreślić należy osobliwość kwestji urzędniczej w Polsce, polegającą na tem, iż właściwy aparat państwowy czy biurokratyczny (mniejsza o nazwę) jest stosunkowo szczupły. „Mały Rocznik Statystyczny" (1935) podaje na str. 229, że na r. budżetowy 1935/36 przewidziano w administracji, przedsiębiorstwach, monopolach i funduszach 437.000 urzędników i niższych funkcjonarjuszów, z czego wypada odliczyć przedsiębiorstwa i monopole (186.000), szkolnictwo (77.000 nauczycieli), wojsko, K. O. P., straż graniczną i więzienną oraz policję (razem 100.000) wreszcie sędziów, prokuratorów i aplikantów sądowych (niespełna 5.000), co łącznie daje 368.000 osób, i dopiero reszta, czyli 69.000 osób stanowi właściwy aparat administracyjny.

Skoro jednak napisaliśmy wyżej słowa: „stosunkowo szczupły", to musimy przyznać, iż w nawet tak niegroźnej „armji" urzędniczej działu administracyjnego nie brak swoistych przerostów. Czy nie zadużo mamy np. woźnych, gońców i służby, jeżeli na 69.000 osób, zatrudnionych w administracji państwowej, niżsi funkcjonarjusze stanowią blisko ¼? Czy jest rzeczą zdrową, aby na 3 urzędników przypadał 1 woźny, goniec, palacz lub szofer?...

Możemy do zagadnienia, o którem mowa „podejść" również z innej strony. Aparat administracji ogólnej (województwa i starostwa) zatrudnia 6.000 urzędników i funkcjonarjuszów, co daje przeciętnie 20 osób na 1 starostwo. Ludzie kompetentni dowodzą, że jest to za dużo (przed wojną jakoby wystarczała połowa wymienionej kwoty), tembardziej, iż podana liczba nie obejmuje personelu, zatrudnionego w starostwie lub województwie, a będącego na etacie ministerstw: Przemysłu i Handlu, Rolnictwa i Reform Rolnych, Komunikacji, oraz Opieki Społecznej. Czy jest ponadto rzeczą słuszną, aby w jednych województwach na starostwo przypadało 189.000 ludności i 3.250 km. kw. obszaru, gdy w innych zaledwie 62.000 mieszkańców i 972 km. kw.? Czy takie dysproporcje nie mówią o potrzebie komasacji?...

Idźmy dalej: jeżeli Ministerstwo Przemysłu i Handlu (centrala) zatrudnia 345 urzędników, to w skali innych władz centralnych nie jest to ani za mało, ani za dużo. Jeżeli natomiast podległe temuż Ministerstwu urzędy górnicze zatrudniają 127 urzędników (do tego dodać należy 8 osób, wykazanych na etacie centrali M. P. i H., ale pracujących w „kontroli górniczej nad bezpieczeństwem kopalń"), a Urząd Morski w Gdyni nawet 192 urzędników, to zjawisko „przerostów" wystąpi jaskrawie po stronie tychże Urzędów. Powinniśmy nawet zapytać, czy istotnie lokalne górnictwo gra w Polsce tak doniosłą rolę, że musi absorbować pracę aż 135 urzędników, podczas gdy przemysł, handel i rzemiosło w całej Polsce absorbują na urzędach wojewódzkich i starostwach zaledwie 104 urzędników z budżetu M. P. i H. A jeżeli istnieją lokalne urzędy górnicze i departament górniczo - hutniczy w ministerstwie, to poco w takim razie Wyższy Urząd Górniczy, gdy analogiczny Główny Urząd Probierczy od lat już nie istnieje.

Podobnie rzecz się dzieje w innych resortach. Tak np. administracja robót publicznych (przy istnieniu specjalnego aparatu Funduszu Pracy) zatrudnia aż 835 urzędników i 1.277 niższych funkcjonarjuszów. Władze I i II instancji w dziale rolnictwa i reform rolnych liczą 1.190 urzędników, co na tle słabego tempa reformy rolnej z jednej strony, a istnienia izb rolniczych z drugiej — stwarza również poczucie „przerostu". Po co, wreszcie, istnieją urzędy do spraw inwalidzkich albo urzędy ubezpieczeń, gdy aparat M. Op. Społ. i ubezpieczalni nie wydaje się zanadto szczupły.

Możnaby uwzględnić jeszcze inne, specjalne zagadnienie: stosunku płac urzędniczych w centrali M. S. Z. do takichże płac w naszych poselstwach i konsulatach. Czy istnieją poważne argumenty, przemawiające za tem, aby przeciętna płaca urzędnika na placówce była 3 razy wyższa od płacy w Warszawie? Jeżeli p. poseł lub p. konsul musi mieć coś w rodzaju funduszu dyspozycyjnego, to chyba p. sekretarz lub p. maszynistka mogą pracować „ku chwale Ojczyzny" również i bez tego dodatku...

Może się mylimy, ale skłonni jesteśmy przypuszczać, że w całym szeregu resortów, na całym szeregu „odcinków" znajdą się takie słabe punkty, których operacja przeszłaby bezboleśnie. Nie możemy przewidzieć, ile dałoby się tą drogą zaoszczędzić: może kilka miljonów, może kilkanaście. Rzecz prosta, nawet przy optymalnem rozstrzygnięciu sprawy deficyt budżetowy pozostanie deficytem budżetowym. A zatem punkt ciężkości leży gdzieindziej. Leży on niewątpliwie w redukcji zadań, stojących przed Państwem, pod warunkiem, naturalnie, że redukcja ta nie zaszkodzi podstawowym interesom i *obowiązkom* (o tem słowie często się zapomina) Państwa i że obcięte członki nie zmart-

wychwstaną w... samorządzie terytorjalnym lub gospodarczym. Mały, ale dobitny przykład: skasowanie t. zw. dowodu uzdolnienia w rzemiośle przyczyniłoby się do usunięcia przynajmniej połowy personelu izb rzemieślniczych. Tą drogą idąc, t. zn. uszczuplając wszędobylstwo i wszechstronność ustaw i rozporządzeń, możnaby — śmiemy twierdzić — obciąć i zbędne działy administracji państwowej.

Zapewne, obniżka płac urzędniczych ma charakter zabiegu doraźnego. Właśnie to jej najgorsza wada: nie ratuje Skarbu Państwa przed deficytem i — co więcej — nie przyczyniając się (bo to jest cyfrowo niemożliwe) do redukcji ciężaru podatkowego (a to jest najważniejsze), obniżka ta bije po kieszeniach jedną grupę społeczną, nie dając nic wzamian innym grupom społecznym. Sytuację uratować, ściślej: pomóc społeczeństwu (chociażby za cenę czyichś ofiar) może tylko zabieg radykalny a zasadniczy. Reszta to są półśrodki, których konsekwencją prędzej czy później będzie — radykalne zerwanie z deflacją.

br.

ZAUFANIE

Istnieją w Polsce i poza Polską sfery, wśród których wyrobiło się przekonanie, że każdy kontrakt zawierany przez Skarb Państwa Polskiego, bądź zawierany bądź wykonany jest mala fide. Stąd unikanie wszelkich kontraktów i kontaktów ze Skarbem, a bodaj i z Państwem, w przekonaniu że można na nich jedynie stracić.

Pogląd ten jest wstrętny. Czy jest uzasadniony, lub upozorowany?

Znałem przemysłowca, człowieka nieposzlakowanej uczciwości, stawianego powszechnie za wzór człowieka, który cieszył się taką opinją, iż jego zeznanie o dochodzie nigdy nie było kwestjonowane, a który ostatnie lata swego życia nietylko że sam unikał stosunków finansowych ze Skarbem Polskim, ale innym stanowczo ich odradzał w imię wyżej wspomnianej opinji. Nie tu miejsce na opis postępowania Dyrektora P. inżyniera H. lub inżyniera S., których postępowanie utwierdziło zmarłego w tem przekonaniu. Możemy zawsze każdy poszczególny wypadek tłomaczyć nadmiarem gorliwości organu wykonawczego, który w imię materjalnych korzyści podległego mu resortu lub przedsiębiorstwa zapomina o znacznie ważniejszych korzyściach moralnych, które przy okazji swemi kruczkami zaprzepaszcza. Idzie nam o zasygnalizowanie nowego faktu, mającego obecnie charakter powszechny, nie indywidualny, faktu, który będąc w istocie objawem niedbalstwa, może w niektórych ustach mieć posmak „kantu".

W warunkach subskrypcji 3% Pożyczki Premjowej Inwestycyjnej 1935 r. podano, że kupon w w wysokości 1% płatny będzie trzy razy do roku 1 stycznia, 1 maja i 1 września; dla tych co całą należność uiścili gotówką w maju 1935 r. od razu, obligacje będą dostarczone ze wszystkiemi kuponami, podczas gdy subskrybenci ratalni otrzymają obligacje z kuponami, począwszy od płatnego 1.V 1936 r. (Monitor Nr. 77 z 2.4.35.).

1.IX 35 nadszedł i przeszedł. Zamiast obligacji wydano świadectwa tymczasowe niezaopatrzone w kupony — kuponu nie ma i nie był zapłacony w terminie płatności.

Ma być wypłacony po wręczeniu oryginalnych obligacji, tj. przed 20 kwietnia 1936 r. Przypuśćmy, że na 1 marca. Skarb uzyskałby odroczenie płatności tego kuponu o 7 miesięcy a drugiego o 2 miesiące, razem o 9 miesięcy tj. o ¾ roku. O odsetki prawne od uchybionego terminu mogliby skarżyć okaziciele kuponu. Odsetki te wynoszą 10% p. a., a więc w tym wypadku możnaby skarżyć o 7½% od wartości kuponu.

Subskrybenci, którzy całą należność uiścili gotówką subskrybowali na sumę zł. 17.000.000. Wartość kuponu na 1.9.35 wynosi zł. 170.000.— a odsetki — 7½% od tej sumy niecałe 13.000.—. Suma jest zbyt błaha, aby dla niej narażać dobre imie Skarbu.

O taką tylko maksymalnie sumę możnaby skarżyć Skarb, gdyby wszyscy gotówkowi subskrybenci się połączyli. — Ale to nie jest prawdopodobne. Straty Skarbu leżą w innej dziedzinie. Stratą jest podważanie zaufania do obietnicy Państwa. Stratą jest utrwalanie przekonania, że nie rzetelność i ojcowska opieka o drobny, groszowy interes jest motywem posunięć Państwa wobec obywatela. Stratą jest nauka ,że na „nabieranie" należy odpowiedzieć „nabieraniem", a na „kant" „kantem".

Skarżymy się na niską moralność podatkową. Skarżymy się na nierzetelność obywatela wobec Ojczyzny. Skarżymy się często zupełnie słusznie. Ale czyż ta nierzetelność nie jest wywołana wielokrotnie przez Skarb Państwa. Czyż nie jest wywołana przez nakazy płatnicze, nieoparte na realnym i prawdopodobnym obrocie, wzgl. dochodzie. Czyż brak zaufania do Skarbu nie jest wywołany przez działalność egzekutorów, którzy ściągają podatek w wysokości kilkunastu złotych, zwracany po kilku latach, jako niesłusznie pobrany.

Przecież można postępować inaczej. Roczna działalność zarządu m. Warszawy jest dowodem, że tam gdzie władza do obywatela zwraca się z zaufaniem w imię wspólnego dobra, tam obywatele zajmują wobec władzy stanowisko ofiarne, choć rok temu zajmowali stanowisko oporne.

Bywali obywatele którzy dla zasady, dla ustalenia słuszności prowadzili ze Skarbem Państwa procesy. Procesy takie, przegrywane z reguły w pierwszych instancjach, doprowadzane do Najwyższego Trybunału Administracyjnego miały tę zasługę iż ustalały normy postępowania Skarbu w następnych analogicznych wypadkach.

Pikanterji sprawie kuponu wrześniowego Pożyczki 3% Inwestycyjnej dodaje fakt, iż w tym wypadku droga ta jest zamknięta.

Przypuśćmy iż obywatel subskrybował dużą sumę. Mam wrażenie iż suma wpłaty zł. 60.000 gotówką, podkreślana jako wyjątek w Monitorze Polskim Nr. 98 z dnia 27.4.35, może być uznana za górną granicę*). Wartość kuponu wrześniowego wy-

*) Bywały sporadyczne wypadki wyższej subskrypcji.

nosiłaby zł. 600 i nie wątpię że później lub prędzej suma ta będzie zapłaconą. Procenty prawne od uchybionego terminu, przy założeniu że zapłata nastąpi 1.3.36 wyniosą zł. 45.—

Sprawy do zł. 100 sądzone są jednoosobowo w sądach grodzkich bez prawa apelacji. Będą więc badane w pośpiechu przez zmęczonego nawałem pracy sędziego, przeważnie nieobeznanego z szansami w sprawach kuponów, obligacji etc., bo te sprawy normalnie są sądzone o większe sumy przed innem forum. Będzie badana w złych warunkach hygjenicznych. W zatłoczonej salce, wobec tłumu małokulturalnego. Trzeba być człowiekiem silnego charakteru, aby w tych warunkach zrozumieć uzasadnienie skargi i wbrew tradycji wydać wyrok na niekorzyść Skarbu Państwa.

Wydanie takiego wyroku będzie tem łatwiejsze, że w obwieszczeniu M. Skarbu z 31.3.35 poz. 110 Monitora Polskiego Nr. 77 z 2.4.35 jest powiedziane, że wydane będą obligacje ze wszystkiemi kuponami, że noszą one daty 1.5.1935, oraz że kupony płatne będą 2 stycznia, 1 maja i 1 września, stąd wniosek, że pierwszy kupon przypada na 1.9.1935. Nie jest powiedziane expressis verbis, iż tego dnia nastąpi zapłata.

Jest to ta sama metoda, którą zastosowały Modrzejowskie Zakłady Górniczo - Hutnicze Sp. Akc., uchwalając za 1927 rok dywidendę, nie określając jednak terminu jej wypłaty. Jest to wprowadzenie dyskryminacji między kuponem, przypadającym do zapłaty na dzień 1.9.35, a kuponem płatnym w tymże dniu.

Jest to finezja filozoficzna, niezrozumiała dla człowieka ulicy. Niezrozumiała dla tych, co składali swoje oszczędności Państwu, gdy ich do tego wezwano. Toteż, o ile nawet wyrok sądowy nie grozi w tym wypadku Skarbowi, to grozi nam pogłębienie nastroju, że słowu danemu przez Polskę, jako Państwo, nawet własny obywatel zawierzyć nie może.

Wszak, jeśli koszt wypłaty tego kupony byłby stosunkowo duży, wystarczyłoby ogłoszenie przed 1.9.35 komunikatu, wzywającego subskrybentów do jeszcze jednej ofiary, do czekania na kupon wrześniowy do kwietnia 1936 r. ze względów technicznych. A nie traktowanie sprawy per non est.

Do naprawy złego władza posiłkuje się instrumentem prawa. Wielki prawodawca północy, Chrystjan V kazał na gmachu sądu w Kopenhadze wykuć napis: „Med lov skal laudet bygges". „Prawem buduje się kraj".

Ale najlepsze prawa, to tylko forma. Treść jej nadają obyczaje. Stary Horacy pozostawił nam świetne słowa: „Quid leges sine moribus vanae proficiuntur". Cóż nam pomogą czcze bez obyczaju prawa?

A dobre obyczaje wychowuje się przykładem. Do nas, do pokolenia, które dożyło Polski Niepodległej, zwracał się przed stuleciem Zygmunt Krasiński ze słowami:

„W ciągłej przykładu i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego swej braci".

Dajemy zły przykład.

s. m.

KTÓŻ TO PIERWSZY OPUSZCZA ZAGROŻONY STATEK

Najzaciętszych obrońców obecnego systemu ubezpieczeń społecznych stanowią pracownicy urzędów i instytucyj, związanych z aparatem ubezpieczeniowym. Jest to zjawisko zrozumiałe; podkreślam je nawet bez żadnej ukrytej intencji dokuczenia, czy pomówienie o złą wolę pracowników biurokracji ubezpieczeniowej. Wierzę, że jeśli bronią oni systemu, to niekoniecznie tylko dla obrony swych stanowisk, lecz z przekonania, z wiarą w słuszność sprawy, której służą. I ta wiara, ba, pewien fanatyzm jest nawet objawem sympatycznym jako dowód wierności dla swych sztandarów.

Są jednak pewne objawy zastanawiające, na które należy zwrócić uwagę.

Broniąc systemu powszechnego ubezpieczenia i chwaląc go — odstępują go jednak pracownicy ubezpieczeniowi... innym. Dla siebie samych wolą wyłączenie, ubezpieczenie na odrębnych zasadach.

Oto pracownicy Zakładu Ubezpieczeń Społecznych częściowo posiadają już, a częściowo domagają się odrębnego ubezpieczenia emerytalnego.

Wiadomo, że składka ubezpieczenia emerytalnego pracowników umysłowych (bez zabezpieczenia na wypadek bezrobocia) wynosi 8%. Ostatniemi czasy słyszało się wiele (a i Komisja Prezesa Grubera pono to stwierdziła), że składka ta absolutnie nie jest dostosowana do ustawowo przyobiecanych świadczeń, że mianowicie świadczenia są w stosunku do tej składki za wysokie, względnie składka skalkulowana zbyt nisko.

Bardzo charakterystycznym przyczynkiem będzie tu porównanie, ile wynoszą składki na odrębne ubezpieczenia emerytalne w tych zakładach ubezpieczeń, względnie obecnie (po scaleniu) w tych funduszach, które już teraz gwarantują pracownikom ubezpieczeniowym odrębne zaopatrzenie emerytalne. Oto wedle statutu funduszu emerytalnego b. Zakładu Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych we Lwowie składka łączna wynosiła 18%, a w b. Zakładzie Ubezpieczeń od Wypadków we Lwowie nawet 20%. (z czego pracownik opłacał 5%, zaś Zakład 15%). Podaję te cyfry na zasadzie artykułu Dr. Marjana Moskwy, który w trzech kolejnych numerach „Przeglądu Ubezpieczeń Społecznych" (Nr. 6, 7 i 8 — czerwiec, lipiec, sierpień 1935) rozważa zagadnienie zastępczego ubezpieczenia emerytalnego pracowników Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Dr. Moskwa dochodzi do wniosku, że należy utworzyć jednolity fundusz emerytalny, który przejmie aktywa i zobowiązania dotychczas istniejących funduszów i obejmie odrębnem ubezpieczeniem emerytalnem wszystkich pracowników Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Jako składkę na to ubezpieczenie proponuje Autor 15% poborów pracowników z tem, by 5% płacił pracownik, a 10% pracodawca, t. j. Zakład Ubezpieczeń Społecznych.

Propozycja ta jest nader charakterystyczna.

Przedewszystkiem wysokość składki: 15% — w stosunku do poziomu powszechnej składki: 8%. Czyżby świadczenia miały być o tyle wyższe od powszechnych? Nie byłoby to uzasadnione i spra-

wiedliwe, ale też zupełnie nie posądzam wnioskodawcy o takie intencje. Sedno rzeczy upatruję w tem, że widocznie dopiero poziom składki 15% zdaje się gwarantować realnie ten mniej więcej poziom świadczeń, jaki jest przyjęty w powszechnem ubezpieczeniu. Pracownicy ubezpieczeniowi, jako najlepiej wtajemniczeni w te rzeczy, zgóry chcieliby zapewnić sobie realność pokrycia świadczeń drogą podwyższenia składki z 8% na 15%.

Podwyższenia — oczywiście nie swoim kosztem. Przy dzisiejszej składce na pracownika o średniem ubezpieczeniu przypada połowa składki, a więc 4%, przy wyższych zaś uposażeniach — 3/5 składki, a więc 4,8%. Podwyższenie składki pracownika do 5% stanowi więc podwyżkę stosunkowo nieznaczną. Podwyższenie jednak części składki z 4% wzgl. z 3,2% na 10% stanowi już olbrzymią podwyżkę. Pikanterja sprawy tkwi w tem, że owym hojnym pracodawcą ma być Zakład Ubezpieczeń Społecznych, a więc instytucja, opierająca swe dochody wyłącznie na składkach życia gospodarczego, a zatem ostatecznie nie kto inny, tylko ogół płacących składki pracowników i pracodawców.

Na te rzeczy trzeba zwrócić uwagę. Poza temi momentami istnieje jednak moment stokroć ważniejszy, poważnie niepokojący, a mianowicie sam fakt stwierdzenia przez pracowników, stojących najbliżej ołtarza, pracowników wtajemniczonych — że składka ubezpieczenia emerytalnego obracać się powinna gdzieś koło poziomu 15%. Stanowi to przedsmak — albo podwyżki składek ubezpieczenia emerytalnego pracowników umysłowych, gdzieś ku temu zawrotnemu poziomowi — albo obcięcia, radykalnego obcięcia świadczeń.

Sprawa jest zbyt poważna, symptomat zbyt niepokojący.

Oddawna zwracaliśmy uwagę na konieczność zasadniczych reform w dziedzinie ubezpieczeń społecznych, a w dziedzinie ubezpieczenia emerytalnego pracowników umysłowych w szczególności. Twierdziliśmy („Stawiamy na człowieka", Gospodarka Narodowa Nr. 19 z 1 października 1934 r.), że „nalepianiem plasterków i łataniem pomniejszych dziur" problemu się nie rozwiąże, że trzeba rewizji założeń systemu. Stawialiśmy konkretne i pozytywne — przyznajemy — daleko idące, ale, zdaniem naszem, socjalnie sprawiedliwe, a gospodarczo i finansowo mocne tezy. Zbywano nas docinkami, usiłowano właśnie stosować politykę plasterków.

Rozumiemy wszystko; rozumiemy momenty rzeczowe i taktyczne. Wiemy, co i kiedy jest na czasie.

Wydaje nam się jednak, że czas nadszedł Wzburzone fale miotają okrętem ubezpieczeniowym. Któż to pierwszy opuszcza zagrożony statek?

Pracownicy ubezpieczeniowi — chcą wyłączenia z ogólnego systemu ubezpieczeń...

Juljusz Braun.

ROMAN PIOTROWSKI

ISTOTA NASZYCH ZRZESZEŃ PRZEMYSŁOWYCH

Obecne „zrzeszenia przemysłowe" są raczej organizacją gospodarczą a nie stanową. Zrzeszenia te mogą legalnie rozwijać pełną działalność kartelową, bez której zresztą najczęściej nie potrafiłyby wogóle spełniać swoich ustawowych zadań. Jako specjalne zrzeszenia przedsiębiorców unormowane wyczerpująco specjalnemi przepisami prawa przemysłowego, zrzeszenia te nie podlegają w żadnym wypadku przepisom powszechnej ustawy kartelowej. Te same zasady dotyczą analogicznie w prawie przemysłowem unormowanych „rzemieślniczych związków gospodarczych".

O zrzeszeniach przemysłowych pisałem już kilkakrotnie. Ostatnio poświęciłem temu zagadnieniu specjalną broszurę („Kilka uwag o branżowych związkach przemysłowych i rzemieślniczych", Warszawa 1935, Księgarnia F. Hoesicka). W tej chwili skłania mnie do ogłoszenia niniejszych zasadniczych wyjaśnień artykuł p. t. „Śmiała teza" (Nr. 15/16 „Gospodarki Narodowej") p. D-ra Juljusza Brauna, radcy prawnego Izby Przemysłowo-Handlowej w Sosnowcu i autora pierwszego komentarza naszej ustawy kartelowej. W artykule tym p. Dr. Braun polemizuje z moim artykułem o zrzeszeniach przemysłowych i ich stosunku do karteli (Nr. 24 „Polski Gospodarczej"). Ponieważ właśnie teraz zagadnienie zrzeszeń przemysłowych stało się wyjątkowo aktualne, a zdania co do ich istoty i zadań są bardzo podzielone, czuję się tem bardziej zobowiązany do zajęcia stanowiska w stosunku do krytycznych uwag p. D-ra Brauna, gdyż może się to przyczynić do wyjaśnienia tego ważnego zagadnienia.

P. Dr. Braun zarzuca mi, że błędnie interpretuję przepisy prawa przemysłowego o zrzeszeniach przemysłowych i dlatego doszedłem do wniosków, które charakter i rolę tych zrzeszeń przedstawiają w niewłaściwem świetle, niezgodnem z prawem przemysłowem.

Powiada p. Dr. Braun dosłownie: „Bo szczerze się przyznam — do postanowień naszego prawa przemysłowego przykładam osobiście znacznie

większą wagę i łączę z niemi szersze nadzieje. Zrzeszeń prawa przemysłowego nie traktują jako domniemanej formy nowej reglamentacji kartelowej. Mojem zdaniem byłoby to ścieśnienie ewolucyjnego zakresu możliwości tkwiących w tych niedość jeszcze ożywionych, bo młodziutkich przepisach. Wbrew tezie p. Dr. Piotrowskiego, który traktuje nowe zrzeszenia prawa przemysłowego jako przeciwstawienie dotychczasowych korporacyjno - stanowych form — ja uważam je jako ulepszenie form dotychczasowych, właśnie w duchu zawodowym (stanowym)".

„Przepisy nowego prawa przemysłowego chciałbym traktować jako punkt wyjścia dla poszukiwania nowych form organizacji zawodowej społeczeństwa, narazie na najbardziej do tego nadającym się odcinku zrzeszeń przemysłowców. Niewątpliwie dla takiego ujęcia o szerszym oddechu, dawne przepisy prawa przemysłowego o korporacjach były zbyt ciasne"... „Tak rozumiem rolę i przyszłość zrzeszeń przemysłowych i dlatego obawiałbym się ścieśnienia jej tylko do roli nowej formy kartelowej".

Odpowiadając na te entuzjastyczne wynurzenia pod adresem naszych zrzeszeń przemysłowych, muszę zacząć od sprostowania, że nigdy nigdzie nie twierdziłem i nie twierdzę, jakoby zrzeszenia przemysłowe miały być tylko nową formą kartelową. P. Dr. Braun może się o tem łatwo przekonać, jeżeli przeczyta uważnie mój artykuł, z którym polemizuje. Stwierdziłem tam jedynie najwyraźniej (tak samo w późniejszej wspomnianej wyżej broszurze), że cele zrzeszeń przemysłowych są mimo ich taksatywnego wyliczenia w art. 69 prawa przemysłowego tak obszernie i ogólnikowo ujęte, *„że każda gospodarcza działalność wszelkich możliwych gospodarczych związków przedsiębiorstw przemysłowych z łatwością da się w nich zamknąć, a zwłaszcza działalność wszelkich organizacyj kartelowych"*.

Nie zacieśniam zatem gospodarczych zrzeszeń przemysłowych tylko do działalności kartelowej, lecz uważam, że mogą one rozwijać także wszelką działalność kartelową, czyli pojmuję je znacznie szerzej, niż p. Dr. Braun, który w tej mierze stwierdza dosłownie że dopiero „po przejściu pewnej ewolucji poglądów godziłby się teoretycznie z uznaniem dopuszczalności celów kartelowych w działalności zrzeszeń, zalecając równocześnie w praktyce z punktu widzenia polityki przemysłowej jak największa ogledność w folgowaniu dążeniom do nadużywania tej ponętnej — jak praktyka ostatniego roku wykazuje — dla zwolenników jawnej, a częściej ukrytej kartelizacji, formy". P. Dr. Braun uważa jednak przytem, że jest to jeszcze kwestja otwarta do dyskusji, czy zrzeszenia prawa przemysłowego mogą przejawiać działalność o charakterze kartelowym. Odpowiedź na to pytanie będzie zdaniem p. D-ra Brauna zależeć „teoretycznie od tego, jaki charakter im (scil. zrzeszeniom) przyznamy, czy ściśle i wyłącznie zawodowy — w dawnem rozumieniu — czy też szerszy, ogólnogospodarczy, praktycznie zaś od tego — jakie ramy działalności zrzeszeń zakreśli polityka przemysłowa Ministerstwa Przemysłu i Handlu, jako decydującego ostatecznie o treści statutów tych zrzeszeń".

Ja natomiast uważam, że niema potrzeby przechodzić żadnej ewolucji poglądów ani też trudzić się jakiemiś rozważaniami czy i kiedy teoretycznie a kiedy praktycznie możemy przyznać zrzeszeniom przemysłowym prawo przejawiania działalności kartelowej; trzeba tylko uważnie przeczytać art. 69 prawa przemysłowego, który w sposób jasny i prosty określa cele zrzeszeń przemysłowych t. j. 1) popieranie rozwoju przemysłu pod względem technicznym i gospodarczym, 2) pozyskiwanie krajowych i zagranicznych rynków zbytu, 3) obrona interesów gospodarczych uczestników. Te wszystkie cele mieszczą w sobie implicite wyraźnie przyznane chociaż słownie niewypowiedziane prawo rozwijania działalności kartelowej. Trzeba bowiem pamiętać o tem, że dokładnie do tych samych celów dąży przygniatająca większość wszelkich możliwych karteli nietylko polskich, co zresztą często bywa stwierdzone expressis verbis w statutach względnie w umowach założycielskich karteli. Przecież każdy najbardziej prymitywny kartel kondycyjny czy cennikowy dąży nietylko do przestrzegania ustalonych warunków czy cen sprzedaży; te bezpośrednie ich cele są jedynie środkami do ostatecznego celu, jakim jest również „obrona interesów gospodarczych uczestników". I właśnie ten cel — obrona interesów gospodarczych uczestników — jest celem ostatecznym wogóle każdego kartelu, który nie jest obliczony jedynie na chwilową przejściową spekulację. Trzeba w końcu zdawać sobie sprawę z tego, że bez kartelowych metod działania t. zn. w szczególności bez odpowiedniego wyeliminowania wzajemnej konkurencji uczestników, zrzeszenia przemysłowe bardzo często nie byłyby w stanie swoich ustawowych celów zrealizować.

Konkretny zarzut przeciwko prawnej dopuszczalności działalności kartelowej zrzeszeń przemysłowych, jaki niektórzy w praktyce podnoszą, łączy się jedynie z zastrzeżeniem, zawartem w art. 69 prawa przemysłowego, że cele zrzeszeń przemysłowych mają być „niezarobkowe". Otóż twierdzą oni, że wszystkie kartele jako obliczone na zysk mają tem samem cele zarobkowe, którym zrzeszenia służyć nie mogą i czem właśnie mają się różnić od karteli. Czyli nawet i ta opinja nie kwestjonuje prawa zrzeszeń do rozwijania działalności kartelowej. Żąda ona jedynie aby ta działalność była niezarobkowa i widzi w tem jakąś istotną różnicę między kartelami a zrzeszeniami. Ale p. Dr. Braun o tych wątpliwościach, łączonych ze słówkiem „niezarobkowe" wogóle nie wspomina; najwidoczniej ich nie podziela i słusznie. Wyjaśniłem już poprzednio (Nr. 24 „Polski Gosp.", broszura) wyczerpująco, jak należy te „niezarobkowe" cele rozumieć i wykazałem, że to zastrzeżenie w niczem nie ogranicza swobodnej działalności kartelowej zrzeszeń przemysłowych. Tu dodam tylko do moich dawniejszych wywodów, że kartele w regule również nie mają żadnych własnych zarobkowych celów, co bardzo często stwierdza się nawet wyraźnie w statutach poszczególnych karteli, które zastrzegają się, że nie są obliczone na zysk. Karte-

le służą jedynie interesom swoich uczestników i przyczyniają się do poprawy ich sytuacji gospodarczej i ich zarobków, których jednak nie można identyfikować z zarobkami kartelu, jakie zresztą nie istnieją, bo jak zaznaczyłem, kartele w zasadzie nie gromadzą dla siebie żadnych zarobków.

Za dopuszczalnością stosowania kartelowych metod przez zrzeszenia przemysłowe przemawia również okoliczność, że prawo przemysłowe nie przewiduje żadnych ograniczeń co do środków działania zrzeszeń, żąda jedynie (art. 71), aby środki te łącznie z celami były wymienione w statucie zrzeszenia.

Dlatego nie podzielam zdania p. D-ra Brauna, aby uznanie prawa zrzeszeń przemysłowych do działalności kartelowej miało zależeć od tego, jaki charakter zechcemy im przyznać, ściśle zawodowy czy też szerszy, ogólnogospodarczy, oraz od tego, jakie ramy działalności zakreśli zrzeszeniom polityka przemysłowa Ministerstwa Przemysłu i Handlu; prawo przemysłowe w szczególności w art. 69, jak wyżej przedstawiłem, samo określiło charakter i ramy działalności (cele) zrzeszeń przemysłowych i nie upoważni to absolutnie nikogo do czynienia w tym względzie jakichkolwiek poprawek. Tak samo trudno zrozumieć, na czem opiera p. Dr. Braun twierdzenie, że nowe zrzeszenia przemysłowe stanowią „ulepszenie form dotychczasowych właśnie w duchu zawodowym (stanowym)".

Znów muszę zauważyć, że wystarczy tylko przeczytać uważnie uchylone przepisy prawa przemysłowego o korporacjach, zwłaszcza art. 70 i 71, traktujące o celach korporacyj, aby się przekonać, że rzecz ma się wręcz odwrotnie. Obowiązkowem zadaniem każdej korporacji zarówno przemysłowej jak i rzemieślniczej (te same przepisy o korporacjach dotyczyły wogóle narówni korporacyj przemysłowych i rzemieślniczych czyli cechów) było w myśl art. 70 pielęgnowanie ducha łączności oraz utrzymywanie godności zawodowej członków, utrzymywanie dobrych stosunków między członkami korporacji, piecza nad sprawami młodzieży przemysłowej, ich nauką itp. zadania o charakterze wybitnie zawodowo - stanowym. Jedynie fakultatywnie mogły korporacje w myśl art. 71 rozszerzyć swoją działalność także na gospodarcze popieranie przemysłowej pracy członków korporacji przez utrzymywanie wspólnych warsztatów pracy, składów surowców, półfabrykatów i wzorów, wspólnych magazynów sprzedaży itp., w czem mogła się niewątpliwie zmieścić możność rozwijania działalności kartelowej.

Wręcz przeciwnie są zredagowane, jak już wyżej wskazałem, cele nowych zrzeszeń przemysłowych. Art. 69 wylicza taksatywnie, całkiem wyraźnie *jedynie gospodarcze* cele zrzeszeń, nie wspominając nigdzie ani słówkiem o jakichkolwiek ich zadaniach zawodowo - stanowych. Mówiąc o „obronie interesów zrzeszonych" jako o jednym z celów zrzeszeń mógł art. 69 z łatwością dodać chociażby to jedno słówko „zawodowych", a jednak nie uczynił tego i mówi wyraźnie tylko o „gospodarczych" interesach. Momentem niezmiernie doniosłym dla zrozumienia intencji ustawodawcy jest także to, że obok „rzemieślniczych związków gospodarczych" (art. 167a i nast.) skonstruowanych niemal identycznie, także co do celów, jak zrzeszenia przemysłowe, a przeznaczonych dla rzemiosła, przewiduje teraz prawo przemysłowe także cechy rzemieślnicze, jako osobną organizację zawodowo-stanową, których cele (art. 161)) prawie pokrywają się z obowiązkowemi celami dawnych korporacyj, wspólnych dla przemysłu i rzemiosła. Najwidoczniej zatem uważał ustawodawca, że ta działalność zawodowo - stanowa nie mieści w zadaniach ściśle gospodarczych rzemieślniczych związków gospodarczych, skoro uznał za konieczne stworzenie dla niej specjalnej organizacji cechów; uczynił to jednak tylko w stosunku do rzemiosła; cechów przemysłowych na wzór dawnych korporacyj przemysłowych polskie prawo przemysłowe nie zna, o czem należy zawsze dobrze pamiętać, a wtedy nikomu nawet na myśl nie przyjdzie twierdzić, że dzisiejsze zrzeszenia przemysłowe są ulepszeniem dawnych korporacyj właśnie w duchu zawodowo-stanowym.

W swojej wykładni praeter i contra legem padł p. Dr. Braun ofiarą jakiegoś swoistego „ujęcia o szerszym oddechu", jak je Sam nazwał, i chce traktować przepisy o zrzeszeniach przemysłowych „jako punkt wyjścia dla poszukiwania nowych form organizacji zawodowej społeczeństwa", całego społeczeństwa, nietylko samych przemysłowców! Cóż z tego, kiedy to wszystko nie znalazło absolutnie żadnego wyrazu w obowiązującem prawie przemysłowem, które nie upoważnia dlatego nikogo do wyciągania tego rodzaju reformatorskich wniosków. Mimoto nie wykluczam, że zrzeszenia przemysłowe mogą u nas odegrać poważną rolę, ale bynajmniej nie w duchu zawodowo - stanowego zorganizowania społeczeństwa, której to potrzeby, uważam, społeczeństwo nasze wogóle nie odczuwa, lecz wyłącznie w naszem życiu gospodarczem, w szczególności na odcinku jego organizacji kartelowej oczywiście przy odpowiedniej polityce kartelowej Rządu.

Niezrozumiałe są dla mnie dalej wywody p. D-ra Brauna, dlaczego miałyby, zrzeszenia przemysłowe, rozwijające działalność kartelową, podlegać równocześnie podwójnej kontroli tego samego Ministerstwa Przemysłu i Handlu, jednej daleko silniejszej na zasadzie prawa przemysłowego, drugiej znacznie słabszej z tytułu ustawy kartelowej. Wykazałem już poprzednio dosadnie, że skoro Minister Przemysłu i Handlu jest panem życia i śmierci wszystkich zrzeszeń przemysłowych, jest ich twórcą, bo bez zatwierdzenia statutu przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu zrzeszenie nie może wogóle powstać, niema potrzeby ani sensu nakazywać tym zrzeszeniom w celu ujawnienia swego istnienia i umożliwienia nad sobą kontroli Ministra Przemysłu i Handlu zgłaszać się do rejestru kartelowego tego samego Ministra, który powołał te zrzeszenia do życia, który ma już ich statuty, przez siebie aprobowane, w swojem urzędowem przechowaniu i sprawuje już nad całą ich gospodarczą działalnością znacznie dalej idącą i skuteczniejszą kontrolę niż ta, jaką mu dałaby nad niemi ustawa kartelowa. Wykładnię tę uzasadnia zresztą wyraź-

nie art. 16 ustawy kartelowej. P. Dr. Braun powiada też wyraźnie, że „przyznaje bardzo wiele racji moim przekonywującym wywodom", ale mimoto nie uznał tej racji; dlaczego nie wiem, bo żadnego uzasadnienia na to nie podał.

Na zakończenie muszę sprostować pewne nieporozumienie, jakie wkradło się do rozważań pana D-ra Brauna. Polemizuje ze mną obszernie p. Dr. Braun na temat niedopuszczalności takiej wykładni art. 69 prawa przemysłowego, wedle której kartele mogłyby powstawać tylko w formie zrzeszeń przemysłowych, tak, jak gdybym ja z podobną tezą rzeczywiście wystąpił. Z przykrością muszę znów zauważyć, że p. Dr. Braun byłby nie podejmował polemiki ze mną co do tego, gdyby był mój artykuł przeczytał uważnie. Wytknąłem tam przecież najwyraźniej jako błąd, tak samo w późniejszej broszurze, że dzięki pewnej niedoskonałości redakcyjnej art. 69 prawa przemysłowego użyto tam słowo *„wyłącznie"* tak niefortunnie, że chcąc ściśle gramatycznie i logicznie interpretować art. 69 należałoby przyjąć, że *wszelkie* zrzeszenia przemysłowców, mające na celu popieranie rozwoju przemysłu pod względem technicznym czy gospodarczym, albo pozyskiwanie krajowych czy zagranicznych rynków zbytu, albo ochronę interesów gospodarczych zrzeszonych, którym to celom, jak przedstawiłem wyżej, służą również kartele, mogłyby powstawać *„wyłącznie"* na podstawie przepisów prawa przemysłowego o zrzeszeniach, czyli także wszystkie kartele mogłyby odtąd prawnie powstawać tylko w formie zrzeszeń przemysłowych, co uznałem bez zastrzeżeń za rzecz nie do przyjęcia. Co więcej, stwierdziłem dosłownie, że „praktycznie trudno wyobrazić sobie, aby coś podobnego mógł ustawodawca mieć na myśli" — i dlatego właśnie do czasu ewentualnej (bo nie ja o tem decyduję) nowelizacji art. 69, która sprostowałaby ten oczywisty błąd kodyfikacyjny, zalecam *wbrew* ustawie traktowanie karteli tak, jak gdyby słówka „wyłącznie" w art. 69 nie było.

NOTATKI

PODOBIEŃSTWO I RÓŻNICE

Rzemieślnicy polscy, wierzący, iż przyszłość rzemiosła leży w t. zw. dowodzie uzdolnienia i innych artykułach ustawy przemysłowej, uzyskali w r. b. potwierdzenie swej wiary w faktach, jakie ostatnio miały miejsce na terenie Rzeszy Niemieckiej. Ukazało się tam bowiem jedno z wielu rozporządzeń w sprawie rozwoju rzemiosła niemieckiego, rozporządzenie z 18 stycznia 1935 r., o którem w polskiej prasie rzemieślniczej doniedawna było głucho, a i dzisiaj właściwie rzemieślnik polski wie o niem piąte przez dziesiąte.

A wspomniane rozporządzenie jest istotnie ciekawe, ba! jest rewelacyjne, o ile nie rewolucyjne. Wprowadza ono bowiem za jednym zamachem ni mniej ni więcej tylko dowód uzdolnienia (§ 1 rozp. mówi: „Samodzielne prowadzenie rzemiosła jako zatrudnienia stałego jest dozwolone tylko osobom prawnym i fizycznym, wciągniętym do rejestru rzemieślniczego") , podczas gdy przed 18.I 1935 r. wykonywanie rzemiosła było dozwolone każdemu w granicach systemu meldunkowego. Obecnie w Niemczech uprawiać rzemiosło można dopiero po uzyskaniu dowodu, stwierdzającego, że kandydat zdał egzamin w zakresie prowadzonego przez siebie rzemiosła lub pokrewnego mu rzemiosła albo posiada prawo zawodowego kształcenia uczniów w zakresie jednego z tych rzemiosł" (§8). „Kto przystępuje do samodzielnego prowadzenia rzemiosła, jako zatrudnienia stałego, winien równocześnie ze zgłoszeniem wniosku do właściwych władz... przedłożyć kartę rzemieślniczą, wydaną jako zaświadczenie o wciągnięciu do spisu rzemieślniczego" (§16). A zatem: tout comme chez nous...

Ale jest i zgoła inaczej. Już choćby ten skromny dodatek słowa: „stałego" (zatrudnienia), co w praktyce ułatwia odróżnienie rzemiosła od przemysłu domowego; ten ostatni w Polsce został uznany za czynność dorywczą dopiero rozprządzeniem Ministra Przemysłu i Handlu z 27.V 1935 r., a mimo to prasa rzemieślnicza dopatrywała się w tem rozporządzeniu pogorszenia stanu dotychczasowego, gdy de facto jest odwrotnie. Są też i dalsze, bynajmniej nie bagatelne, różnice: § 4 dekretu niemieckiego wprowadza coś, czego polskie ustawodawstwo rzemieślnicze nie zna zupełnie, mianowicie: „O ile ktoś odpowiada wymaganiom, przewidzianym w § 3 ust. 1 (zob. wyżej) i dotyczącym prowadzonego przez siebie podstawowo rzemiosła, to w zakładzie swym może również wykonywać prace z zakresu innych rzemiosł". Kto czytał sprawozdanie izb rzemieślniczych i zauważył średniowieczne utyskiwania na wzajemną konkurencję cukierników z piekarzami, krawców z kuśnierzami etc. ten w cyt. przepisie niemieckim znajdzie pełną satysfakcję.

Największą jednak różnicę pomiędzy polskiem a niemieckiem prawem rzemieślniczem stwarza § 20 omawianego dekretu. Tysiące wątpliwości, jakie nasuwa art. 146 i art. 198 ust. 4 prawa przemysłowego polskiego (t. zw. dyspensy i t. zw. prawa nabyte), tysiące kłopotów, wynikających z praktycznego wykonywania tych budzących wątpliwość paragrafów, styczniowy dekret Hitlera usuwa szybko i sprawnie. Kto tkwił w rejestrze rzemieślniczym przed 1.I 1932 r. lub kto urodził się przed 1.I 1900 r., ten automatycznie uznany jest za samoistnego rzemieślnika. Regulując w sposób jasny i nie budzący wątpliwości kwestję owych nieszczęsnych (w Polsce) praw nabytych, roztrzygnięto równocześnie sprawę „dyspens" czyli wyjątków od zasady: każdy rzemieślnik zarejestrowany, przez władze przemysłowe, a nie figurujący w dawnym spisie rzemieślniczym i nie posiadający 35 lat życia, otrzymuje termin 5-o letni (do końca 1939 r.) na zdanie obowiązującego powszechnie egzaminu i do

tego czasu nikt mu nie ma prawa zamknąć zakładu. Zresztą ustawodawca niemiecki przewidział i taki wypadek, że władza państwowa w porozumieniu z izbą rzemieślniczą (w Polsce dopiero na wniosek tej ostatniej) może zwolnić każdego od dowodu uzdolnienia, jeżeli zachodzi sytuacja wyjątkowa, zwłaszcza, gdy chodzi o tych, co „otrzymali wykształcenie zawodowe w zakładzie przemysłowym“ i byli zatrudnieni w swoim zawodzie w ciągu lat pięciu“ (§ 3 ust. 2).

Polskie prawo przemysłowe nie jest prawem oryginalnem, lecz „ściągniętem“ z wzorów obcych, przyczem w zakresie ustroju rzemiosła wzorowało się ono na prawie austryjackiem, które obowiązywało w dzielnicy najmniej uprzemysłowionej i gdzie rzemiosło po dziś dzień pozostało liczebnie najsłabsze. Konfrontacja polskiej ustawy z nowoczesną (acz zbytnio może rygorystyczną) ustawą niemiecką potwierdza tylko nasz pogląd o „grzechu pierworodnym“ tej pierwszej.

j. gozd.

SŁOWO I CZYN

Prawo przemysłowe, obowiązujące w Polsce, przewidziało w art. 2 ust. 1, jakie gałęzie gospodarstwa narodowego wzgl. jakie czynności, zawody itp., prawu temu nie podlegają. W długim spisie eliminacyjnym nie wymieniono jednak zakładów karnych i poprawczych, a zatem ich praca przemysłowa wymaga uregulowania z uwagi na interesy życia gospodarczego. Potwierdza to ust. 2 cyt. artykułu, zapowiadając wydanie przez Radę Ministrów rozporządzenia określającego granice stosunku prawa przemysłowego do pracy więźniów. Rozporządzenie to do dziś dnia się nie ukazało (a szkoda), sprawy te natomiast „regulują“ okólniki Ministerstwa Sprawiedliwości.

Użyliśmy świadomie słowa: regulują — w cudzysłowie, ponieważ wspomniane okólniki nie ustanawiają wyraźnego zakresu działalności zakładów więziennych i poprawczych na terenie gospodarczym, lecz—przeciwnie—zakres ten zamazują. W zasadzie (ale tylko w zasadzie) więzieniom nie wolno występować na rynku prywatnym; Ministerstwo Sprawiedliwości, uroczyście potwierdzając tę zasadę, równocześnie pozwala w pewnych wypadkach na „współpracę“ z rynkiem prywatnym. Praktyka poszła jeszcze dalej.

Można mieć wątpliwości, czy celowe jest dopuszczenie wyrobów więziennych do urzędów wymiaru sprawiedliwości, ale ostatecznie można nad temi zastrzeżeniami przejść do porządku dziennego. Trudniej będzie interpretować (jak to czyni *praktyka* M. Spraw.) pojęcie: sądownictwo w sensie również i: urzędnicy więzienni, sędziowie, prokuratorzy itp.; pan naczelnik więzienia, kupując meble do swego *prywatnego* mieszkania, nie występuje jako osoba urzędowa, lecz jako osoba prywatna. Podobnie nie można się zgodzić, aby wszystkie urzędy państwowe traktować narówni z urzędami sądowemi i więziennemi; byłoby to przekroczenie pojęcia (i tak już mocno rozszerzonego): pokrycie zapotrzebowania własnego lub: we własnym zakresie. Ale już zupełnie nie można się zgodzić na to, aby praca więźniów (skoro nie wprowadzono w Polsce systemu sowieckiego) występowała na rynku prywatnym i to „ausgerechnet“ w tych działach gospodarstwa narodowego, które są aż nadto „przeludnione“.

Sprawozdania izb rzemieślniczych za rok 1934 pełne są konkretnych faktów, stwierdzających istnienie istotnie nielojalnej konkurencji więziennictwa z t. zw. szarym (ale jeszcze wolnym) człowiekiem. Wspominają o niej izby: w Grudziądzu (w zakresie warsztatów stolarskich), w Nowogródku (wyroby szewckie w Lidzie), Lwowska, która pisze: „zarząd więzienia karno-śledczego we Lwowie przyjmuje zamówienia od osób prywatnych na wykonanie robót stolarskich (całkowite urządzenie mieszkania), które uskutecznia przy pomocy więźniów“ i wspomina jeszcze o identycznej praktyce więzienia karnego w Samborze i Rzeszowie (stolarszczyzna i krawieczczyzna), w Brześciu nad Bugiem (stolarszczyzna), poznańska (bez podania konkretnych przykładów) i inne. Jedyna izba wileńska komunikuje, że „warsztaty więzienne, dzięki zarządzeniom władz centralnych, spowodowanych interwencją Izby Rzemieślniczej w Wilnie, zmniejszyły zakres działania, organizując (miało być zapewne: ograniczając) swoje prace do potrzeb wewnętrznych więziennictwa“. Jeżeli jednak w tej wzmiance jest tyle prawdy, ile się jej mieści w przypisywaniu izbie wileńskiej zasługi „zmiany frontu“ ze strony Ministerstwa Sprawiedliwości, to nasze pojęcie o konkurencji więzień z wytwórcą prywatny uzyska tylko odpowiednie zaokrąglenie. Że nasz sceptycyzm jest uzasadniony, świadczy jeden goły fakt: pomimo zakazów Ministerstwa Sprawiedliwości dział pracy więźniów figuruje jawnie i oficjalnie na wystawie budowlano-mieszkaniowej na Kole w Warszawie, gdzie jako żywo ani sądy, ani biura wymiaru sprawiedliwości nie mogą być przewidziane w roli konsumenta. Widocznie okólniki władz centralnych są tak pisane, żeby nazewnątrz miały formę zakazu, a odwewnątrz — nakazu konkurencji z rzemiosłem.

Do tych wszystkich faktów trudno jest dorzucić cokolwiek od siebie. Zakończymy więc tę notatkę westchnieniem: życie widocznie jest zbyt skomplikowane, skoro pomiędzy słowem a czynem zachodzą tak wielkie przeciwieństwa.

k. b.

ALTRUIZM W EKONOMICE MIĘDZYNARODOWEJ (?)

Minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanji p. Hoare, przemawiając w Lidze Narodów w sprawie konfliktu włosko - abisyńskiego, wypowiedział między innemi zdanie o potrzebie rewizji międzynarodowego podziału bogactw w kierunku uwzględnienia interesów narodów pod tym względem upośledzonych.

Szef rządu włoskiego i twórca faszyzmu dawno już wyraził pogląd, że istotą rzeczy nie są wewnętrzne antagonizmy klasowe, ale zły podział dóbr w skali międzynarodowej i że istnieją narody proletarjackie — pozbawione terenów dla ekspasji oraz surowców, narody burżuazyjne, zaopatrzone

we wszystko aż nadto obficie zarówno w stosunku do zaludnienia, jak i dynamiki ludnościowej. Nie ulega wątpliwości, że najbogatszym „imperjum“ w tym sensie jest Wielka Brytanja. Lwia część bogactw naturalnych świata należy do anglo - sasów.

Zasada „świętego“ egoizmu zawsze królowała w polityce międzynarodowej. Lecz oto nadeszła chwila, kiedy minister Wielkiej Brytanji mówi o potrzebie rewizji międzynarodowego podziału surowców, a prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, nakazuje swoim obywatelom wycofanie się z koncesji abissyńskiej.

Zapewne — stało się to w obliczu zmobilizowania włoskiej armji i jawnej chęci rozpętania wojny przez Włochy, tem nie mniej fakty powyższe są znamienne, takim bowiem językiem nie przemawiano, zdaje się dotąd nigdy na forum międzynarodowem. Ciekawem jest tylko jak sobie p. Hoare wyobraża taką korektywę międzynarodowego podziału surowców: Kolonij napewno nie odda, mandatów — też niema chęci, a poszczególne złoża kopalin są własnością prywatną. Ponadto przecież istnieje jeszcze kwestja osadnictwa, bardzo żywotna dla przeludnionych krajów „proletarjackich“. W jakiż więc sposób można uskutecznić ową korektywę nie naruszając państwowo - terytorjalnego stanu posiadania, bo z własnością prywatną można by było łatwiej sobie poradzić?

Poruszenie zasady sprawiedliwości w międzynarodowym podziale bogactw przez przedstawiciela państwa, którego udziałem w tym wypadku byłoby — dawać a nie brać—jest zjawiskiem godnem uwagi, bo głosy tych, którzy na sprawiedliwości mają zarobić nie są ani rzadkością ani nowością i nie mają tego samego ciężaru gatunkowego. Lecz mimo tych komplimentów pod adresem pana Hoare trudno jest traktować jego oświadczenia, jako propozycję realną. Układ stosunków politycznych, narodowościowych, publiczno - prawnych i prywatno - prawnych jest taki, że na zmianę międzynarodowego podziału surowców przy najlepszej woli wszystkich zainteresowanych ministrów spraw zagranicznych trzebaby było bardzo długo czekać. A Mussolini widocznie nie chce czekać, albo i nie może.

„Wojna jest dalszym ciągiem polityki“. Polityka Mussoliniego, jest dyktowana zespołem warunków gospodarczych i demograficznych. Podobnie jak polityka wszystkich krajów przeludnionych streszcza się ona w haśle walki o miejsce pod słońcem. Włochom jest ciasno w apenińskim bucie. Drogą układów uzyskali pewne terytorjalne i, ważniejsze od nich, immigracyjne koncesje od Francji w Afryce. Ale tego nie wystarczy. Wyciągają więc ręce po jedyne niezależne państwo w Afryce. Nie chcą wierzyć sojusznikom z okresu Wielkiej wojny, bo były już raz przez nich oszukane, i to oszukane wtedy, gdy chodziło o dawanie z cudzej kieszeni. A dziś Anglja im powiada, że da z własnej kieszeni, byle nie brali z abissyńskiej. Taki altruizm, niespotykany dotychczas w polityc międzynarodowej, musi być podejrzany dla rodaków Machiawela, i nie tylko dla nich. Byłoby zbyt piękne, gdyby narody zaczęły się w ten sposób traktować i zbyt to jest kontrastowe w zestawieniu z polityką autarkji gospodarczej, barjer celnych, zamknięcia emigracji, wyrzucania zasiedziałych imigrantów, zamknięcie kredytów itd itd.

A może? A może istotnie wytoczenie armat i czołgów budzi altruizm w duszach posiadających i dzierżących Forsytów?

z. sz.

KTO TO ZROZUMIE

Prawo przemysłowe, o którem na łamach „Gospodarki“ pisze się (i to słusznie) dużo a krytycznie, zawiera kilka takich miejsc, których nielogiczność i nieżyciowość rzucają się nawet laikowi w oczy.

Do jednych z nich należą ustępy, poświęcone rzemiosłu budowlanemu. Jak wiadomo, do wykonywania jakiegokolwiek rzemiosła wymagany jest t. zw. dowód uzdolnienia, dający podstawę do wydania t. zw. karty rzemieślniczej, bez której otrzymuje się upomnienie, grzywnę do 1.000 zł., areszt do 14 dni, a przedewszystkiem zakaz wykonywania danego rzemiosła, jako prowadzonego „contra legem“. Czy taka koncepcja w biednem społeczeństwie jest mądra czy niemądra — nie będziemy tutaj dyskutowali, przyjmijmy jednak, że jest conajmniej jasna i zrozumiała.

Tymczasem art. 145 ust. 4 pr. przem. koncepcję tę — w odniesieniu do rzemiosła budowlanego — przekreśla. Tutaj już nie wystarcza dowód uzdolnienia, uzyskany czy to w drodze „dyspensy“, czy na podstawie egzaminu czeladniczego. Prawo żąda czegoś większego: „do samoistnego wykonywania rzemiosła, wchodzącego w zakres robót budowlanych“, wyszczególnionych w art. 333 i 334 prawa budowlanego, „wymagane jest posiadanie tytułu mistrza“. A zatem mularz lub cieśla, który ma zbudować „stałe ogrodzenie murowane‘ albo i drewniane, ustawić t. zw. popularnie „sławojkę“ etc., musi wpierw zdać egzamin mistrzowski, bo inaczej będzie miał zamkniętą drogę do zarobku i — egzystencji. Na dobitkę ustawa przemysłowa nie uznaje tutaj praw nabytych i ci wszyscy mularze i cieśle, którzy przed 16.VIII 1934 r. byli dopuszczeni do pracy bez dyplomu mistrzowskiego, o ile tylko mieli kartę rzemieślniczą, teraz uważani są za... nielegalnych.

Na tem jednak nie koniec. Prawodawca, rozumiejąc, jak absurdalny w *polskich* warunkach jest taki *monopol* dla nielicznych mistrzów, umieścił w art. 146 ust. 2. klauzulę, która pozwala udzielić „dyspensy“ (t. zn. dać możność żyć) mularzowi, nie posiadającemu dyplomu mistrzowskiego. Czyniąc tak, popełniono atoli pewien nonsens prawniczy: „dyspensa“ opiewa nie na *rzemiosło*, ale — wbrew całemu prawu przemysłowemu i jego istocie — na pewne *roboty* budowlane. Powstaje przeto kwestja, czy karta rzemieślnicza, uzyskana w drodze „dyspensy“, czyni „dyspensowicza“ rzemieślnikiem, czy „robi“ go mistrzem, czy tylko pozwala... żyć.

Mało tego: art. 149 pr. przem. powiada, że kształcić terminatorów (przywilej i główna cecha

mistrza rzem.) może również osoba, z „akademickiem wykształceniem technicznem obejmującem dane „rzemiosło". Tem samem inżynier - architekt miałby prawa mistrzowskie, czemu jednak sprzeciwia się art. 145 ust. 4, art. 146 ust. 2 i art. 155, skąd wynika, że takiemu inżynierowi wolno nauczyć rzemiosła budowlanego, ale nie wolno go... wykonywać, ponieważ nie jest on mistrzem.

Każde prawo może mieć swoje słabe strony, ale prawo przemysłowe ma ich stanowczo za wiele. I nie jest to wina prawników, lecz — tendencji. Chciano stworzyć sztuczne tamy przed dopływem nowych sił do rzemiosł wogóle, budowlanych w szczególności, chciano podnieść poziom wykonawstwa (wystarczyłoby koncesjonowanie), chciano wreszcie honorować zasadę monopolu dla „wybranych", osłabiając jej sens przez „dyspensy" i zabrnięto w ślepy zaułek. W warunkach, regulowanych „dowodem uzdolnienia", było to nie do uniknięcia.

k. b.

IDYLLA MALEŃKA TAKA...

A było to tak:

W grudniu 1922 r. pewna duża firma przemysłowa (nomina — et loca — sunt odiosa) zawiadomiła „odnośny" magistrat o nabyciu „posesji" dla zbudowania na niej nowej wytwórni. Magistrat wysyła jedną komisję sanitarno - techniczną, po pewnym czasie (fabryka się buduje) — drugą, wreszcie z końcem 1924 r. przedsiębiorstwo zaczyna działać, uzyskawszy we wrześniu zatwierdzenie planu rozbudowy. Etap pierwszy — rozdział pierwszy: szybko ,sprawnie, efekt gospodarczy doniosły.

Rozdział i etap drugi: przedsiębiorstwo się rozwija, wobec czego w marcu 1927 r. wnosi podanie o zatwierdzenie projektu nowych skolei urządzeń. Władze budowlane miejskie w czerwcu wyrażają swą zgodę (w wyniku tej zgody powstaje najbardziej hałaśliwa część zakładu) i tego samego dnia (co za zbieg okoliczności!) zatwierdzają projekt budowy domu mieszkalnego, sąsiadującego z fabryką „przez ścianę" (za cienką, bo oszczędnie zbudowaną — jak się potem okazało). Władze przemysłowe miejskie dają fabryce pozwolenie, ale po niewczasie mają wątpliwość, czy rozbudowa zakładu nie stoi w sprzeczności z mieszkalnemi interesami miasta. „Odnośny" wydział magistratu, odpowiedzialny za regulację miasta, wypowiada się (z obawy o hałasy) przeciwko rozbudowie. Czyni to w listopadzie 1927 r. Rozpoczynają się przeto pertraktacje z firmą (fabryka ciągle idzie — konjunktura prze do dalszych inwestycyj) i firma zgadza się na przeniesienie fabryki po tylu a tylu latach. Jest już luty 1929 r., fabryka pracuje pełną parą, jednocześnie pod rygorem świeżo (z końcem 1927 r.) wprowadzonej ustawy przemysłowej odbywa się proces zatwierdzania projektu urządzenia rozbudowanego przedsiębiorstwa. Wreszcie we wrześniu 1930 roku magistrat pozwolenia udziela. Po 3½ latach, ale ustawie stało się zadość...

Teraz małe interludjum, dla sprawy raczej obojętne: zezwolenie magistratu udzielone jest firmie z zastrzeżeniem wykonania przez nią tych a tych zmian i uzupełnień. Jest już kryzys, firma wie, że przebywa w „odnośnem" miejscu tylko do pewnego czasu, targuje się więc z kim trzeba o ulgi i prosi o wyrozumiałość. Miasto, spoczątku groźne, stopniowo łagodnieje i oto z końcem 1932 r. następuje święta zgoda. Okres trwania interludjum: 2 lata. Niedużo.

Nagle: etap trzeci: W lipcu 1933 r. lokatorzy domu, o którego zatwierdzeniu była mowa wyżej, dochodzą do wniosku, że sąsiednia fabryka (która robi bokami spowodu kryzysu, a zatem nie robi zbyt wiele hałasu) jest dla nich za hałaśliwa. Wysłany na miejsce urzędnik miejski potwierdza skargi lokatorów; w 2 tygodnie później komisja miejska zaprzecza skargom. W listopadzie 1933 r. miasto zawiadamia lokatorów, że ich podanie jest niesłuszne. Lokatorzy nie dają za wygraną i wnoszą „rekurs" do władzy najwyższej. Ta żąda zbadania sprawy (jeszcze raz!): magistrat posyła komisję i komisja wraca z wnioskiem: szanowni sąsiedzi pomylili się, bo hałasuje zupełnie inna fabryka, której urządzenie w dzielnicy mieszkalnej zatwierdziły miejskie władze budowlano - regulacyjne. W maju 1934 r. odnośna władza najwyższa, otrzymuje to wyjaśnienie, lęka się wydać samodzielnie decyzję (samodzielność pachnie... Trybunałem Administracyjnym), wobec czego sprawa idzie do zbadania przez (równoległą) władzę najwyższą. Ta ostatnia bada zagadnienie od maja 1934 do marca 1935 r. i, nie ruszając się od „zielonego sukna", przyznaje rację miastu. Ale czyni to (na wszelki wypadek) w formie: „wydaje się prawdopodobnem", proponuje więc pierwszej władzy najwyższej (która już miała dawno czas zapomnieć o tak ważnem zagadnieniu) dokładniejsze zbadanie sprawy na miejscu (po raz trzeci!...). Odpowiedzi nie otrzymano. Władze najwyższe nadal „urzędują".

A fabryka idzie dalej. „Eppur si muove". Koła maszyny kręcą się naprzekór ustawie przemysłowej, na złość sąsiadom, którzy sobie uświadomili hałas w okresie kryzysu po 5 latach zamieszkania. A, co gorsza, kręcą się w odwrotnym kierunku i w odwrotnem tempie do kierunku i tempa „urzędowania" władz państwowych: fabryce zaczyna się poprawiać, a urzędom...

z. i.

INSTRUMENT INNEJ EPOKI

Urzędy Celne nie mogą być wieczyście magazynami cudzej własności.

Urzędy Celne nie mogą od infinitum czekać na zainkasowanie od importerów przypadających im sum.

To też w okresie gospodarki liberalnej Urzędy Celne miały prawo po pewnym okresie sprzedać towar z licytacji i z uzyskanych kwot pokryć swe pretensje.

Ustawy pozostały, stosunki się zmieniły. Importer sprowadza towar, uzyskując pozwolenie przywozu.

Towar przychodzi w ilości bądź wyższej od zaznaczonej na pozwoleniu, bądź też opakowanie jest cięższe niż tara przewidziana przez polskie ustawodawstwo celne i powstaje nadwaga ponad

ilości zezwolone do wwozu.

Importer zwraca się do C. K. P. o pozwolenie na dodatkowe ilości.

C. K. P. odmawia wobec wyczerpania kontyngentu.

Importer zwraca się do Ministerstwa o uruchomienie dodatkowego kontyngentu.

Ministerstwo odmawia wobec toczących się z krajem eksportującym nowych pertraktacji handlowych.

Importer wyjaśnia sytuację, Ministerstwo rozumie ją, kontyngent zostaje powoli uruchamiany.

W międzyczasie mija termin składowy i Urząd Celny przystępuje do licytacji.

Powstaje następujące zagadnienie: Czy nowonabywca towaru z licytacji może odebrać towar i wprowadzić do obrotu bez pozowlenia przywozu? Wtedy mielibyśmy nowy instrument importowy wbrew woli reglamentatorów importu.

Czy też nowonabywcy nie wolno towaru wprowadzić do obrotu bez pozwolenia przywozu? W takim razie któż stanie do licytacji?

Instrument prawny z epoki wolnego obrotu towarowego międzynarodowego staje się nieprzydatnym w epoce gospodarki związanej.

POSTANOWIENIE Sąd okręgowy we Lwowie Wydział II handlowy jako Sąd rejestrowy dnia 22.VII 1935 zarządził w rejestrze handlowym pod Sygn. II R. H. B. XIII 1813. wpis następującej treści: Brzmienie firmy „Wschódzweks“, Spółka powierniczo usługowa eksporterów jaj spółka z ograniczoną odpowiedzialnością we Lwowie. Siedziba przedsiębiorstwa: Lwów, Batorego 38/II. Przedmiot przedsiębiorstwa: zarobkowe udzielanie pomocy przy eksporcie jaj z Polski w szczególności udzielanie komercjalnych porad załatwianie czynności pomocniczych przy ekspedycji sprzedaży i inkasie, komis, ajencja i powiernictwo. Kapitał zakładowy wynosi 12.500 zł. podzielony na 25 udziałów przy czem każdy wspólnik może mieć tylko jeden udział z wyjątkiem wspólnika Dra Stanisława Nachlika, który może mieć większą ilość udziałów. Członkami zarządu wybrani zostali: 1) Karol Büschel 2) Uscher Mansberg, 3) Iwan Martiuk, 4) Dawid Zimet, 5) Majer Taler. Reprezentowanie firmy następuje w ten sposób, że pod brzmieniem firmy umieszczą trzej członkowie zarządu swe podpisy łącznie. Czas trwania spółki nieograniczony. Pismem przeznaczonem do ogłoszeń Spółki jest „Monitor Polski“ i „Gospodarka Narodowa“ Udzielono prokury jednoosobowej Eljaszowi Heiberowi z upoważnieniem do wyłącznego, podpisywania firmy Spółki. Zarejestrowano dnia 26 lipca 1935 r.

OBWIESZCZENIE.

Do Rejestru Spółdzielni R. S. XIV. 1531 Sądu Okręgowego w Warszawie dnia 14-go sierpnia 1935 roku wciągnięto następujące dodatkowe zgłoszenie: „Gospodarka Narodowa — Spółdzielnia Wydawnicza z ograniczoną odpowiedzialnością w Warszawie“. R. S. XII.1531. b) Pisma przeznaczone do ogłoszeń „Spólnota Pracy“ i „Gospodarka Narodowa“. Dwa pisma do ogłoszeń uchwalono na Walnem Zgromadzeniu w dniu 9 kwietnia 1935 roku“. Warszawa, dnia 14 sierpnia 1935 r. Sąd Okręgowy, Rejestr Handlowy.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA“ CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJ ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk. „ZAWODOWA“, Z. Winkler, Długa 30, tel. 11.53-01.